

odgłosy



NR 51-52 (303-304)
22-29. XII 63 R.
CENA 1,50 ZŁ

TYGODNIK

ROK VI

CO ROK PRZYNIÓSŁ?

STYCZEŃ

- 1 W Zjeździe Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności wzięła udział delegacja KPZR z Nikitą Chruszczowem na czele.
- 2 Linia lotnicza NRD Deutsche Lufthansa wznowiła komunikację na trasie Warszawa—Berlin.
- 3 Min. Rapacki wyjechał do Indii z oficjalną wizytą.
- 4 Kostow i inni komuniści bułgarscy zostali w pełni zrehabilitowani i pośmiertnie odznaczeni. W Sofii ma stanąć popiersie Kostowa.
- 5 Rozbieżności między państwami bloku zachodniego zaostrzają się. Prez. de Gaulle podał do wiadomości następujące dwie decyzje rządu francuskiego: Francja nie chce dopuścić Wielkiej Brytanii do udziału we Wspólnym Rynku — Francja odrzuca amerykańskie propozycje utworzenia wielonarodowej siły nuklearnej opartej na dostawach sprzętu amerykańskiego (rakiety Polaris) i pozostającej pod kontrolą USA.
- 6 Zima stulecia trwa w całej Europie. Szkoły zamknięte są w całym kraju na tydzień, w pewnych miejscowościach zaś nawet na dłużej w związku z kłopotami z ogrzewaniem. W Anglii od 300 lat nie notowano tak ostrej zimy.
- 7 Zgodnie z porozumieniem w łonie RWPG samochody „Syrena” produkowane będą z silnikami „Wartburga”.

(Dalszy ciąg na str. 3)



wesołych świąt

życzy redakcja „odgłosów”

WILLIAM BUTLER YEATS

przekład Józefa Birkenmajera

MĄDROŚĆ KRÓLA

Królowa Jejmość z Wyspy Lesistej zmarła w pogoju, a dziecko jej oddano na wykarmanie kobiecie, która mieszkała na skraju lasu w lepiance z mułu i łożyny. W pewną noc owa kobieta siedziała, bujając kołyskę, rozmyślała o urodzie dziecka i modliła się, by bogowie obdarzyli je mądrością równą jego piękności. Wtem ktoś zapukał do drzwi: wstała, dziwiąc się, gdyż najbliżsi sąsiedzi mieszkali we dworze Króla Jegomości o milę drogi, a noc była już późna.

— Kto puka? — zawołała, a cienie głos odpowiedział:

— Otwórz! Jestem starą kobietą z plemienia szarego jastrzębia, i przychodzę tu z mroku lasu.

Przerażona kobieta odryglowała zasuwę; do izby weszła sędziwa kobieta, szaro przyodziana i wzrostem wyższa nad słusznego chłopca i stanęła w głowach kołyski. Mamka z lękiem cofnęła się pod ścianę, nie mogąc oderwać wzroku od kobiety, gdyż w świetle ogniska ujrziała, że ta na głowie zamiast włosów miała szare pierze jastrzębie. Lecz niemowlę spało i płomień hulał na kamieniach paleniska, gdyż jedno z nich było za głupiotkę, a drugie za wesołe, by miały sobie zdawać sprawę, jak okropna stwora stoi tuż obok.

— Otwórz! — rozległ się inny głos — jestem starą kobietą od siwego jastrzębia i strzegę jego gniazda w mroku lasu.

Mamka powtórnie otworzyła drzwi, choć jej palce drzące ledwo zdołały utrzymać zasuwę; do izby weszła druga sędziwa niewiasta, stara jak pierwsza i z takimi samymi piórami zamiast włosów i stanęła obok tamtej. Wkrótce nadeszła trzecia sędziwa niewiasta, po niej czwarta, a za nią piąta, szósta, siódma — aż całą chatę wypełniły te olbrzymie ciała. Przez długi czas stały w zupełnej ciszy i spokoju, gdyż były one z tych, których nigdy nie zaniepokoiło przesypywanie się piasku, lecz w końcu jedna bąknęła głosem cichym i piskliwym.

— Siostry, poznałam go z daleka po czerwieni jego serca pod srebrzystą skórą.

Następnie rzekła druga:

— Siostry, poznałam go, bo serce w nim trzepotało, jak ptak w siódlach z włóknem srebrzystych.

Potem inna zabrała głos:

— Siostry, poznałam go, gdyż serce jego śpiewało, jak ptak, co jest szczęśliwy w klatce srebrzystej.

Potem zaśpiewały wszystkie razem, a te, co były najbliższe, chybały kołyskę długimi, kościstymi palcami: głosy ich były już to łagodne i pieszczotliwe, już to

niby huczący w lesie wiatr. Oto słowa ich pieśni:

Uchodź z myśli, co uszło sprzed żrenicy
Już dawno ludzie — męże czy niewiasty —
O ciężkiej woli, lecz głowie pierzastej,
Zabrali płacki nam z ofiarnych pszenic,
Zabrali nasze ołtarze kamienne...
Tylko grad, deszcz, grom i serca z czerwieni.

Którą moc naszą w siwiznę przemieni —
Póki czas płynie, zostają niezmienne...

Gdy śpiew ucichł, starucha, która przemawiała poprzednio rzekła:

— Już nie tu nie mamy do roboty, jak tylko zmieszać kroplę naszej krwi z jego krwią.

Zadrasnęła się w ramię ostrym koniuszkiem wrzeciona, które na jej rozkaz przyniosła mamka, upuściła kroplę krwi, siwej jak mgła, na wargi niemowlęcia i przepadła w ciemność. Wtedy i pozostałe pozikały w milczeniu jedna za drugą; przez cały ten czas dziecko nie otworzyło oczu ani ognisko nie przestało hasać, gdyż jedno było za głupiotkę, a drugie za wesołe, by mogło zrozumieć, jakie potężne istoty schylały się nad kolebką.

Gdy kobiety odeszły, mamka zdobyła się na odwagę i pobiegła do zamku Króla Jegomości; wpadłszy do sali obrad, jęła wołać, że Sidhe pochylały się tej nocy nad dzieckiem, nie wiadomo, czy w dobrych czy w złych zamiarach. Król, jego pieśniarze, prawnicy, łowcy, kucharze i najlepsi wojownicy poszli z nią do chaty i zebraли się dokoła kolebki, czyniąc wrzawę, jak sroki; dziecko usiadło i spojrzało na nich.

Upłynęły dwa lata, a król zginął, walcząc z Fer Bolgiem; w imieniu chłopca rządził krajem pieśniarze i prawnicy; wiedzieli, że on sam stanie się nie za długo ich panem, bo nikt nie widział dziecka tak mądrego, a opowieści o jego ustawicznych zapytaniach, dotyczących władzy bogów i urzędzenia świata, rozpowszechniały się po wklidowych chatkach nędzarzy. Wszystko byłoby w porządku gdyby nie jedna rzecz, która porządku niepokoiła ludzi nade wszystko niewiasty, które plotkowały o tym bez ustanku. We włosach chłopca zaczęły wyrastać szare pióra jastrzębie, a choć piastunka wycinała je ciągle, to niebawem odrastały w jeszcze większej liczbie. Nie byłoby to rzeczą wielkiej wagi, gdyż podówczas łatwo było o cudy i dziwy, gdyby nie odwieczne prawo Erinu, mówiące, że



dalszy ciąg na str. 4

CHEMIA CHEMIA CHEMIA

9 grudnia rozpoczęło obrady kolejne Plenum KPZR. Na polecenie Prezydium Nikita Chruszczow wygłosił referat pt. „Szybki rozwój przemysłu chemicznego — najważniejszym warunkiem rozwoju produkcji rolnej i wzrostu dobrobytu”.

Oto znamienne tezy referatu:

Przytaczając słowa Lenina: „Komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju”, Chruszczow stwierdził: „gdyby Włodzimierz Iljicz Lenin żył, na pewno powiedziałby teraz: „komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju, plus chemizacja gospodarki narodowej”.

W ciągu ostatnich 10 lat globalna produkcja przemysłu wzrosła 2,7 raza; niemal dwukrotnie zwiększyła się wydajność pracy; zbudowano 8.500 nowych wielkich przedsiębiorstw.

„Obok giganta jakim był nasz przemysł już w 1953 roku — powiedział Chruszczow — w ciągu jednego dziesięciolecia pojawiły się jeszcze dwa takie giganty! Podobnie, jak lot w kosmos, zapiera to oddech. Jest z czego być dumnym, jest z czego cieszyć!”

W dalszej części referatu Nikita Chruszczow powiedział:

Piekne, porywające słowa o rewolucji gdy przygotowuje się ta rewolucja i dokonuje jej, wzbudzają entuzjazm i porywają ludzi do walki przeciwko kapitalizmowi. Wielka jest siła rewolucyjnego hasła, rewolucyjnych apeli. Ale jeśli po zwycięstwie rewolucji nadal głosi się tylko ogólne hasła, i nie zajmuje się poważnie działalnością praktyczną w dziedzinie budowy socjalizmu i komunizmu, to wystąpi rozbieżność między szlachetnymi apelami do ludności a praktyczną działalnością partii. Nie wystarczy tu już samo tylko hasła: decydującego znaczenia nabiera konkretna materialna treść, praktyczna praca w dziedzinie budowy nowego społeczeństwa, jego gospodarki i jego kultury”.

TEXAS DALLAS FBI

Siedziwo w sprawie zamachu na prezydenta Kennedy'ego utknęło właściwie na martwym punkcie. Cały świat oczekuje jednak nadal odpowiedzi na szereg niepokojących pytań. Oto niektóre z nich:

- Czy prezydent Kennedy padł ofiarą spisku? Ankiety przeprowadzone przez Gallupa wykazują, że tak myślą co drugi Amerykanin.
- Czy morderca Oswald, osławiony Ruby, działał jako wykonawca poleceń mafii gangsterskiej Cosa Nostra? Do walki z tą mafią energicznie wysiłał brat prezydenta, prokurator generalny Robert Kennedy. Siedziwo już na wstępie wykazało, że Ruby miał kontakty z gangsterskim podziemiem w Chicago, że był również powiązany z policją. Podejrzewa się również, że i Oswald był konfidentem FBI. Jak inaczej bowiem tłumaczyć, iż ten, tak ponoć podejrzany, osobnik, otrzymał za pośrednictwem FBI wizę zagraniczną w ciągu jednego dnia?
- Już w pierwszych godzinach śledztwa po ujęciu Oswald, policja w Dallas orzekła, że na karabinie, z którego jakoby oddano mordercze strzały, nie ma żadnych odcisków palców możliwych do odczytania, oraz że kule, które ugodziły prezydenta „zaginięły bez śladu”. Jak więc to się stało, że po śmierci Oswald odnalazły się i kule i odciski palców na karabinie?
- Dlaczego FBI wypływała na parę dni przed tragedią w Dallas matkę Oswald, o Ruby'ego, pokazując jej nawet fotografię osławionego „patrioty z Dallas”?



Wszystkie te wątpliwości i fakty, sprawiają, że zbrodnia w Dallas jest niemal jednoznacznie komentowana w prasie światowej. Natomiast prasa amerykańska poświęca jej z każdym dniem mniej uwagi. I już tylko wzmianki wspominają na przykład o tym, że:

- Duchowny kościół Metodystów z Dallas, ojciec Holmes, stał się celem wścieklej nagonki elementów prawicowych. „Wina” tego duchownego polega na tym, iż wyraził on publicznie oburzenie z powodu wybuchu radości, jakim przyjęli dzieci w szkołach w Dallas wiadomość o zabójstwie prezydenta. W wielu szkołach dzieci przerywały lekcje i tańcem i śpiewem dawały wyraz swojej radości.
- Były wspólnik Ruby'ego wypytany przez dziennikarzy o patriotyczne jakoby uczucia mordercy Oswald, powiedział: „Pierwszy raz słyszę, że Ruby kocha jakiegoś prezydenta, prócz tego, który figuruje na banknotach dolarowych.”



Jeździec z Południa

USA przed WYBORAMI

Śmierć prezydenta Kennedy'ego całkowicie zmieniła obraz sytuacji przedwyborczej w Stanach Zjednoczonych. Zmarły prezydent mimo, iż popularność jego — szczególnie na Południu — wydatnie w ostatnich miesiącach zmalała, uchodził za pewnego faworyta w wyborach. Dziś, w miesiąc po jego śmierci, sytuacja nie jest tak jasna. Cały przyszły rok będzie więc okresem ostrych walk politycznych zarówno między obu partiami, jak i wewnątrz nich. Na razie perspektywy tej walki starają się ocenić publicyści. Oto ich wstępne oceny:

GOLDWATER — arcyreakcyjny senator z Arizony, jak się wydaje, stoi na pozycjach z góry przegranych. Ten demagog, bliski osławionemu Walkerowi, nie ma argumentów, z którymi mógłby wystąpić w kampanii wyborczej. Dotychczasowy jego polityczny arsenał, to napaści na politykę wewnętrzną Kennedy'ego i slogany rasistowskie. Tragiczna śmierć prezydenta sprawiła, że żaden z tych zgranych atutów politycznych Goldwatera nie daje mu większej szansy.

ROCKEFELLER — Popularność tego polityka bardzo ucierpiała na skutek powtórnego małżeństwa. Ameryka, kraj łatwych rozwodów, zżyma się purytańsko na polityków, którzy nie trzymają się niewolniczo pewnych przyjętych konwencji. Mimo to, „w próżni” jaka powstała po śmierci Kennedy'ego — Nelson Rockefeller wyraźnie się uaktywnił. Ma on zamiar, jak sądzą komentatorzy — wygrać jako swoje atuty pewne podobieństwa w poglądach politycznych, zbliżające go jakoby do zmarłego prezydenta.

NIXON — Rozgromiony przez Kennedy'ego w poprzednich wyborach, wielokrotnie oświadczał, że skończył z polityką. Ale obecnie znów się ożywił, i jak sądzą komentatorzy, szykuje się do kampanii wyborczej pod przyjacielskim protektorem, zawsze jeszcze bardzo w Ameryce popularnego Eisenhowera.

Wśród innych kandydatów wymienia się jeszcze i ambasadora przy ONZ Adlai Stevensona oraz gubernatora Scrantona.

JOHNSON — Najpewniejszym jednak kandydatem wydaje się nowy prezydent L. B. Johnson, który już dziś czyni przygotowania do energicznej akcji wyborczej. Należy się liczyć z jego zwycięstwem — lecz Amerykanie pamiętają i to, że przeszedł on niedawno ciężki zawał serca. Więc kto będzie jego współkandydatem na fotel wiceprezydenta?

A George Gallup, dyrektor Amerykańskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej ogłosił w połowie grudnia wyniki pierwszych badań na temat przyszłych wyborów. Oto jak w wyborach prezydenckich zamierzają głosować demokraci:

Lyndon Johnson	68%
Robert Kennedy	16%
Adlai Stevenson	5%
Hubert Humphrey	2%
Edmund (Pat) Brown	2%
Stuart Symington	1%
William Fulbright	1%

Przed startem w nowy rok

REALIA I HOROSKOPY

Chociaż komentatorzy twierdzą, że w polityce najtrudniej stawiać horoskopy — okazuje się, że z analizy układu sił można wyciągać wcale trafne wnioski. I to nie tylko na daleką przyszłość, lecz również na najbliższe 365 dni.

U progu bieżącego roku angielski dziennik „Daily Express” zwrócił się do premiera Chruszczowa z pytaniem, jaką główną nadzieję pokłada on w roku 1963? Radziecki mąż stanu odpowiedział wówczas:

— Sądzę, że nadzieje, jakie żywię, związane z nadchodzącym nowym rokiem, pokrywają się z nadziejami i pragnieniami milionów ludzi wśdzie na Ziemi. Mam nadzieję, że r. 1963 będzie rokiem pokojowego rozwoju ludzkości. Rokiem istotnych postępów w uregulowaniu palących problemów międzynarodowych i w złagodzeniu napięcia międzynarodowego.

Następnie N. S. Chruszczow wyraził przekonanie, że jeśli mocarstwa zachodnie ustosunkują się w ten sam sposób do wezwania ONZ o zaprzestanie doświadczeń atomowych, co Związek Radziecki — to „nie będzie już więcej wybuchów bomb i ładunków nuklearnych”.

Dziś — u schyłku roku — możemy stwierdzić, jak słuszne to były przewidywania. Trzy tegoroczne decyzje, wydane w porządku chronologicznym: o zainstalowaniu „gorącej linii” Kreml — Biały Dom, częściowym zakazem doświadczeń z bronią termojądrową i przekształceniu kosmosu w pierwszą strefę bezatomową — upoważniają do stwierdzenia, że był to rok „istotnych postępów”.

Mogą je na swe konto zapisać nie tylko wielkie mocarstwa, ale i kraje małe, których z międzynarodowego rachunku sił wojny i pokoju nie można obecnie wykreślać. Wielkość wkładu moskiewskiego polega m. in. właśnie na tym, że figurują pod nim podpisy 107 krajów świata.

Według pobieżnych obliczeń, rokrocznie na przygotowania wojenne wydaje się na świecie 120 mld dolarów. Gdyby tylko piątą część tej sumy przeznaczyć na rozwój krajów słabo rozwiniętych — w ciągu najbliższych 25 lat, a zatem jeszcze za życia obecnego pokolenia, uzbierałaby się okragła kwota 600 mld dolarów. Ekonomisci twierdzą, że środki te wystarczyłyby na przewyższenie gospodarczego zaoferowania tej grupy krajów, a nawet zbliżenia się do teraźniejszego poziomu produkcji przemysłowej Anglii czy Francji.

Czy już tylko to — odsunięcie widma głodu, zagładającego dziś w oczy prawie 500 milionom mieszkańców kuli ziemskiej — nie powinno być argumentem za światowym pokojowym współistnieniem? Niestety, nie wszyscy ekonomiści operują takim właśnie rachunkiem. Często egzystencjalne, doraźne cele biorą prym. Dla wielu kół — prosperity rozwiniętych

krajów Zachodu jest pochodną zimnej wojny, a trwała żywotność ich gospodarki — związana z rozwojem przemysłu zbrojeniowego. W proponowanym rozbrojeniu doszukują się więc „fatalnych konsekwencji” i dlatego traktują je jako „sennie marzenie niektórych idealistów”.

Czy trzeba dodawać, jak „teorie” te rzutują na politykę obozu kapitalistycznego? Jak utrudniają postęp w schodzeniu z narzuconej przez przeciwny nam świat drogi militaryzacji życia?

A przecież wchodzi tu w grę nie tylko ekonomiczny aspekt zbrojeń. Krzyżują się różnorodne interesy poszczególnych grup kapitału, tworząc spłot, który z polityki — jak powiedział kiedyś wielki uczyony Albert Einstein — czyni dziedzinę „bardziej skomplikowaną niż fizyka”.

Mimo to jesteśmy pełni optymizmu i nie bez uzasadnienia twierdzimy, że historycznie bliższy jest czas, kiedy pnąć się jeszcze w górę krzywa zbrojeń — spowodujemy w dół.

Co z tej optymistycznej prognozy może się spełnić w ciągu najbliższych 365 dni?

Międzynarodowe sondaży i dysputy, które — być może — nie ominą i bezpośrednio światowej czołówki polityków, z pewnością dotyczyć będą przede wszystkim właśnie problemu rozbrojenia. Na genewskiej konferencji „komitetu 18” mogą zostać zarysowane kontury kolejnego porozumienia. Uchronienie się przed nagłym atakiem i redukcją środków przenoszenia broni nuklearnej wydają się być najbardziej prawdopodobnym tematem negocjacji.

Nie bez wpływu na przebieg genewskich rozmów pozostanie radziecka decyzja o redukcji wydatków na siły zbrojne w roku przyszłym o 600 mln rubli.

Korespondent UPI — H. Shapiro nazwał ją „pierwszym wystrzałem, proklamującym nową ofensywę w kierunku całkowitego i powszechnego rozbrojenia”. „Times” zaś ocenił polityczną tego wydarzenia zamknął w słowach: „Z Rosji wieje ciepły wiatr...”

Rok 1964 powinien także przyczynić się do rozszerzenia stosunków handlowych między Wschodem a Zachodem. Zapowiedziana na rok przyszły konferencja na temat światowego handlu w Genewie zapewne stworzy ku temu sprzyjający klimat.

Nie ma natomiast nadziei na to, by inny z najważniejszych światowych problemów — problem Berlina zach. — doczekał się rozwiązania. Choć z pewnością nie będzie on schodził z porządku dnia, trudno oczekiwać, by przed wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych uległ zmianie obecny stan.

Rok 1964 — chcemy wierzyć — będzie kolejnym rokiem pokojowego współistnienia, w którym nie znajdzie się miejsce na żadne „argumenty” zaczerpnięte z przestarzałego już arsenału siły.

WIESŁAW BEK

R O K

1963!

LUTY

- 1 Władysław Gomułka z okazji swej 58 rocznicy urodzin otrzymał jak co roku wiele serdecznych życzeń z całego kraju. Na półkach księgarskich ukazał się tom przemówień i artykułów Władysława Gomułki z okresu 1943—45.
- 2 Zawarliśmy szóstą z kolei umowę handlową z USA dotyczącą dostaw artykułów rolnych.
- 3 Zmarł wybitny ekonomista prof. Adam Krzyżanowski.
- 4 Zima stulecia daje się nadal we znaki. Około półtora tysiąca ludzi zmarło w różnych krajach Europy. W Belgii straty spowodowane przez zimę oblicza się na 50 mln dolarów.
- 5 W Iraku nastąpił przewrót. Obalono rząd Kassema, jego miejsce zajął płk. Aref, były zastępca Kassema w roku 1958.
- 6 Odbyło się XII Plenum KC PZPR poświęcone sprawom rolnictwa. Chodzi o zwiększenie inwestycji w rolnictwie i zapewnienie dalszego wzrostu produkcji rolnej.
- 7 Czterej polscy żeglarze ze Szczecina przepłynęli Atlantyk na jachcie Hermes II. W Miami na Florydzie stateczek ten (10 m długości) wzbudził prawdziwą sensację.

MARZEC

- 1 Premier Cyrankiewicz udał się z oficjalną wizytą do Meksyku.
- 2 W przedwyborczym wystąpieniu w Moskwie premier Chruszczow stwierdził, że generalną linią polityki zagranicznej ZSRR jest niezmiennie pokojowe współistnienie między państwami o różnych ustrojach społecznych.
- 3 We Francji wybuchł strajk półmilionowej rzeszy górników.
- 4 Polska i NRF zawarły 3-letnią umowę handlową, przewidującą dalszy wzrost wymiany towarowej.
- 5 Ekipyaperskie toczą zaciętą walkę z zatorami lodowymi na rzekach. Lody zerwały 5 prześię mostu na Wiśle w Dęblinie, a woda zalała kilka wsi, których ludność trzeba było ewakuować.
- 6 Poznański chór Stuligrosza dał koncert dla prezydenta Kennedy'ego.
- 7 Eksplozja francuskiej bomby atomowej, pod ziemią na Saharze, wywołała falę protestów w całej Afryce.
- 8 Na targach Wiosennych w Poznaniu zawarto 40 tys. umów na dostawę towarów wartości 20 miliardów zł.

KWIECIEŃ

- 1 W Związku Radzieckim wystrzelono rakietę księżycową „Łuna 4”. Rakietą zbliża się do swego celu.
- 2 Związek Radziecki wystosował kolejny list do KC KPChin w sprawie uregulowania rozbieżności jakie powstały w międzynarodowym ruchu komunistycznym. W liście ponawia się zaproszenie Mao Tse-Tunga do Związku Radzieckiego na wiosnę względnie lato br.
- 3 Zmarła wybitna pisarka, autorka „Dziwcząt z Nowolipek” Pola Gojawiczyńska.
- 4 Zmarł Jerzy Pichelski, popularny aktor teatralny i filmowy.
- 5 Związek Radziecki przyjął propozycję amerykańską utworzenia bezpośredniej łączności telekomunikacyjnej między szefami rządów ZSRR i USA. Sprawa ta, aktualna już dawniej, nabrała jeszcze większego znaczenia w związku z kryzysem kubańskim.
- 6 Nowa konstytucja w Jugosławii zmieniła m. in. nazwę państwa na Socjalistyczną Federacyjną Republikę Jugosławii.
- 7 Ogłoszona przez Papieża encyklika „Pacem in terris” (Pokój na ziemi) wypowiedziada się za wstrzymaniem wyścigu zbrojeń i za tworzeniem atmosfery wzajemnego zaufania.
- 8 Zatonął amerykański atomowy okręt podwodny „Thresher”.
- 9 Premier Chruszczow ukończył 69 lat.

MAJ

- 1 Fidel Castro przybył do Moskwy, gdzie owacyjnie witany wziął m. in. udział w wielkiej manifestacji na Placu Czerwonym.
- 2 Zbiórka na Szkoły Tysiąclecia dała w ciągu czterech i pół roku 5 miliardów zł. Zbudowano i oddano do użytku już 582 szkoły.
- 3 Papież Jan XXIII otrzymał nagrodę pokojową im. Balzana.
- 4 Liczba państw członków ONZ zwiększyła się o Kuwejt, mały kraj arabski nad Zatoką Perską. W ONZ jest obecnie 111 państw.
- 5 36-letni Gordon Cooper, syn pułkownika lotnictwa amerykańskiego został ósmym kosmonautą. Jego lot odbył się w kabinie typu „Merkury”.
- 6 Przez trzy dni przebywał w Polsce na Mazurach Janos Kadar premier i I sekretarz Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej.

CZERWIEC

- 1 3 czerwca o godz. 20.49 zmarł Papież Jan XXIII. Z całego świata napłynęły do Rzymu wyrazy głębokiego żalu z powodu zgonu człowieka o wielkim sercu, wybitnego rzecznika pokojowego współżycia, przyjaźni i porozumienia między narodami. Żył 81 lat, pochodził z rodziny chłopskiej. Papieżem wybrany został po śmierci Piusa XII w 1958 roku. Po Janie XXIII na tronie papieskim zasiadł Paweł VI.
- 2 Piąty kosmonauta radziecki Walery Bykowski i pierwsza w świecie kosmonautka, Walentyna Tierieszkowa spotkali się w kosmosie na statkach kosmicznych Wostok 5 i 6.
- 3 Rząd Iraku rzucił kilka dywizji przeciwko Kurdom zamieszkującym górskie tereny na południe od Kaukazu, częściowo w Turcji i Iranie. Prawo do odrębności narodowej zdobyli oni sobie po pierwszej wojnie światowej, w 1958 roku Kurdowie poparli rewolucję Kassema, ale Kassem, ani też jego następca Aref wbrew obietnicom nie przyznali Kurdom praw do autonomii.
- 4 Do Sejmu wpłynął projekt ustawy o ograniczeniu podziału gospodarstw rolnych.
- 5 We Francji zmarł Paul Casin, pisarz i nieustraszony popularyzator literatury polskiej (przekładał Paskę, Mickiewicza i in.). Od 1956 r. członek zagraniczny PAN.
- 6 Plenum KC KPZR podjęło uchwały w sprawie zadań ideologicznych partii w dziedzinie wychowania, oświaty, nauki, kultury i sztuki oraz w sprawie oceny dotychczasowej polityki w zakresie stosunków z partią chińską. Plenum zaaprobowowało dotychczasową działalność w tej dziedzinie Prezydium KC KPZR i I sekretarza KC, Chruszczowa.
- 7 Otwarto linię lotniczą z Warszawy do Kairu. Obsługują ją samoloty IL-18.

LIPIEC

- 1 Na 70-lecie urodzin Waltera Ulbrichta, I sekretarza KC SED i przewodniczącego Rady Państwa NRD zjechali do Berlina premier Chruszczow, Władysław Gomułka, prezydent Antonin Novotny, premier węgierski Kadar i premier Bułgarii Ziwwkow.
- 2 XIII Plenum KC PZPR przyjęło dwie uchwały w sprawie aktualnych problemów ideologicznej pracy partii oraz w sprawie zwołania w pierwszej połowie 1964 roku IV Zjazdu partii (poprzednie Zjazdy odbyły się w latach 1948, 1954 i 1959). Przygotowaniem Zjazdu zajmie się wybrana przez Plenum KC PZPR 60-osobowa komisja.
- 3 We Wrocławiu 6 osób zachorowało na ospę. Wydano zarządzenia o masowych szczepieniach obowiązujące osoby przyjeżdżające i opuszczające Wrocław.
- 4 O 5 rano 26 lipca 200 tys. miasto jugosłowiańskie Skopje przeżyło chwile straszliwej grozy: wstrząsy podziemne zniszczyły miasto, w gruzach zginęło około 1.200 ludzi.

SIERPIEŃ

- 1 5 sierpnia o godz. 15.30 na Kremlu Gromyko, Rusk i lord Home podpisali w obecności premiera Chruszczowa i sekretarza ONZ U Thanta układ o zakazie eksplozji jądrowych w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą.
- 2 Premier Chruszczow udał się z wizytą do Jugosławii, minister spraw zagranicznych Kocza Popovic.

WRZESIEŃ

- 1 Oddana została do użytku bezpośrednia linia dalekopisowa łącząca Kreml z Białym Domem w Waszyngtonie. Linia ta ma służyć szefom rządów obu mocarstw do porozumiewania się w pilnych sprawach.
- 2 Serce Kościuszki zostało przekazane Muzeum Narodowemu. Urna z sercem Naczelnika ukryta została w czasie okupacji w Katedrze warszawskiej, a po wyzwoleniu odnaleziona w jej gruzach.
- 3 Oszczędności złożone w PKO przekroczyły kwotę 27 miliardów zł. Książeczkę PKO posiada już co drugi obywatel Polski, a przeciętny wkład na 1 książeczkę wynosi 832 zł.
- 4 Pierwszym prezydentem Republiki Algierskiej został dotychczasowy premier i przywódca Frontu Wyzwolenia Narodowego Ahmed Ben Bella.
- 5 Do Polski przybyła z wizytą oficjalną delegacja partyjno-rządowa NRD, której przewodniczył przewodniczący Rady Państwa i I sekretarz KC SED Walter Ulbricht.
- 6 Rozpoczęła się druga sesja Soboru Powszechnego w Rzymie.

PAŹDZIERNIK

- 1 103 państwa podpisały już moskiewski układ o częściowym zakazie eksplozji jądrowych (z wielkich mocarstw nie podpisały go dotąd Francja i Chiny). Układ wszedł w życie z dniem 19 października.
- 2 Związek Radziecki liczy już 225 mln mieszkańców.
- 3 Kanclerz NRF Konrad Adenauer oddał ster rządów swemu następcy Erhardowi.
- 4 Przed 20-leciem Wojska Polskiego Rada Państwa mianowała Mariana Spychalskiego, ministra obrony narodowej, Marszałkiem Polski.
- 5 Serdecznie podejmowana była w naszym kraju radziecka delegacja wojskowa z ministrem obrony ZSRR, marszałkiem Malinowskim na czele.
- 6 Jedyna na świecie kobieta-premier p. Bandaranaike, szef rządu cejlońskiego odwiedziła Polskę.
- 7 Zmarli: francuski pisarz, malarz, reżyser filmowy i poeta Jean Cocteau oraz świetna pieśniarka francuska Edith Piaf. Mimo ciężkiej choroby w ostatnich latach nie rezygnowała ona z występów.
- 8 Nowym premierem brytyjskim został, po 7 latach sprawowania rządów przez Macmillana — lord Home.

LISTOPAD

- 1 W ZSRR wystrzelono nowy typ aparatu kosmicznego „Polet 1”, posiadającego szerokie możliwości manewrowania. Mówi się, że aparaty tego typu mogą być użyte w przyszłości do łączenia na orbicie kilku urządzeń w jedno latające obserwatorium kosmiczne.
- 2 Do Polski przybył z wizytą znakomity pisarz amerykański John Steinbeck (odwiedził on również Łódź).
- 3 Walentyna Tierieszkowa (która wraz z Walerym Bykovskim bawiła w Łodzi i w innych miastach w kraju) wyszła za mąż za majora Andriana Nikolajewa.
- 4 Na Węgry wyjechała polska delegacja partyjno-rządowa pod przewodnictwem Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza.
- 5 Prezydent John Kennedy padł w Dallas w Teksasie od kul zamachowców. Oswald podejrzan o morderstwo zabity został przez właściciela nocnego lokalu w Dallas.
- 6 Rozpoczęło obrady XIV Plenum KC PZPR poświęcone węzłowym problemom naszej gospodarki w najbliższym okresie.

GRUDZIEŃ

- 1 Cały świat żyje w dalszym ciągu pod wstrząsającym wrażeniem strzałów w Dallas. Na ręce nowego prezydenta Lyndona Johnsona płyną zewsząd depeche z wyrazami współczucia i żalu po prezydencie Kennedym, którego opinia światowa uważała za rzecznika postępu w polityce amerykańskiej zarówno w dziedzinie stosunków wewnętrznych w USA jak i w odniesieniu do podstawowych problemów współżycia międzynarodowego.
- 2 400 delegatów z 80 krajów świata przybyło do Warszawy na sesję Światowej Rady Pokoju.
- 3 Min. Rapacki bawił z oficjalną wizytą w Zjednoczonej Republice Arabskiej.
- 4 Z taśmy fabryki traktorów „Ursus” zszedł 100-tysięczny ciągnik.
- 5 Między Polską i Francją podpisana została dwuletnia umowa handlowa.
- 6 Na uroczystości proklamowania niepodległości przez Kenię udała się do Afryki polska delegacja oficjalna.

MĄDROŚĆ KRÓLA

Dokończenie ze str. 1

nikt, kto miałby jakąkolwiek skazę na ciele, nie może zasiadać na tronie; ponieważ zaś siwy jastrząb był dzielnym ptakiem, co nigdy nie zasiadł do stołu, ani też nie słuchał pieśni poetów przy blasku ognia, tedy dziecka, w którego czuprynie wyrastały jego pióra, niepodobna było uważać za nie innego, jak za rzecz skazaną i zepsutą; ludzie nie umieli, pomimo podziwu dla rosnącej w nim mądrości, pozbyć się jakiegś grozy. Bądź co bądź wszyscy się na to zgodzili, że on ma panować, gdyż we znaki im się dała głupota królów oraz własne niesnaski, a ponadto pragnęli zobaczyć jego rzady: toteż powszechnie się obawiano, by jego wielka mądrość nie skłoniła go do uległości ustawom i powołania na swoje miejsce kogoś, kto miał tylko przeciętny rozsądek.

Gdy chłopiec miał już siedem lat, najstarszy pieśniarz, zwołał wszystkich, pieśniarzy i prawników na wiec, na którym rozważano i przemyślano wszystkie te okoliczności. Królówic już był zauważył, że wszyscy z jego otoczenia mieli tylko włosy; a chociaż mu mówiono, że i oni mieli kiedyś pióra, lecz utracili je wskutek grzechu, jakiego się dopuścili ich praojcowie, to jednak poznano, że on dojdzie prawdy, gdy zacznie chodzić po wsiach okolicznych. Po wielu rozważaniach wydali nową ustawę, nakazującą każdemu pod grozą śmierci wpiąć sobie we włosy pióra siwego jastrzębia; rozesłano ludzi z siłkami, pętlami i łuskami do okolicznych włości, by zebrać dostateczną ilość piór. Ponadto uchwalono, że ktokolwiek powie prawdę dziecku, będzie stracony ze skały w morze.

Mijały lata i królówic z pacholecia wyrósł na młodzieńca, a z młodzieńca na mężczyznę. Jak dawniej ciekaw był wszystkiego, tak i teraz zajmował się dziwnymi i przenikliwymi myślami, które nachodziły go we śnie, rozróżnianiem rzeczy, długo uważanych za podobne, oraz łączeniem rzeczy, długo uważanych za odmienne. Schodziły się tłumy z obcych krajów, by go zobaczyć i zasięgnąć jego rady, lecz na granicy porostawiano strażników, którzy zmuszali wszystkich przybyszów do wpięcia sobie we włosy piór

szarego jastrzębia. Gdy go słuchano, jego słowa zdawały się rozjaśniać wszelkie ciemności i napełniały serca słuchaczy; niestety jednak, gdy powracali do ojczyzny, jego słowa jakby ulatniały im się z głowy, a to co zdolali zapamiętać, wydawało się zaledwie dziwne i przenikliwe, by mogło się przydać w ich gorączkowym życiu. Niektórzy zaczęli odtąd żyć inaczej, ale ich nowy tryb życia był mniej świetny od dawniejszego; jedni służyli przedtem dobrej sprawie, lecz skoro uszyli, że pochwalili ją oraz ich trudy, powracali do ojczyzny, by to, co dotąd miłowali, uważać za mniej godne kochania i lżejszą mieć w boju rękę, gdyż on ich nauczył, o jak mały włoszek prawda oddzielona jest od kłamstwa; inni znowu, którzy nie służyli żadnej sprawie, lecz w spokoju zażywali dobrobytu domowych pieleszy, gdy on im wyjaśnił znaczenie ich celów, przekonali się, że ich członki stały się mniej wytrzymałe, a ich wola mniej chętna do żmudnej roboty, gdyż on ukazał im wyższe cele; a zastępy młodzieży, usłyszawszy z ust jego te różności, pamiętały kilka słów, które stały się w ich sercach na kształt ogniska i jakby nic, oddawały się wszelkim miłym rozrywkom i wzajemnemu obcowaniu, a odchodzili w różne strony, lecz zawsze z ogromnym żalem.

Gdy ktoś zadał mu pytanie z zakresu spraw codziennego życia lub rozprawiał, czy to o obszarze jakiegoś kraju, czy o błędzeniu bydła, czy o karze śmierci, król zwracał się po radę do swego otoczenia; uważano to za objaw grzeczności, gdyż nikt nie wiedział, że te szczegóły były przed nim zakryte przez myśli i sny, które nawiedzały go w nocy. Tym bardziej nikt nie mógł wiedzieć, że serce jego tulało się zgubione w tłoku drczących jego myśli i marzeń, wdrygając się przed trawiającą pustką.

Pomiędzy tymi, którzy przybyli, by go zobaczyć i posłuchać, była córka drobnego księżątka, który mieszkał bardzo daleko. Skoro młody król ją ujrzał, zakochał się w niej, bo była piękna, a była to dziwna, biała piękność, niespotykana u kobiet jego kraju. Lecz Dana, wielka

Nie wiemy nic lub prawie nic o owym świecie: mitologia celtycka jest nam — mimo wytrwałych i pięknych studiów Stefana Czarnowskiego — prawie nieznaną i imiona Aengus, Maeve, Forgael i Oisín nie mówią nam nic lub mówią bardzo niewiele. Ale ten świat, którego fragment chcemy dziś przedstawić czytelnikom, świat przemienionego w labędzia Aengusa i Cu-chulain'a, który był synem jastrzębia, nie jest światem znikniętym. Mitologia słowiańska zaginęła prawie bez śladu i wiemy już dziś, że nigdy nie uda nam się dotrzeć do zasypanych źródeł naszego obyczaju i naszej symboliki. Wystarczy sięgnąć po ciekawą książeczkę Brücknera, zatytułowaną „Mitologia polska”, by się o tym przekonać. Mitologia Celtycka, choć wielokrotnie skazywana na zagładę — zagrażała jej przecież i rzymscy legioniści i najeźdźcy z Północy i chrześcijańscy misjonarze — przetrwała aż do naszych czasów w kraju Aengusa i Fergusy, Irlandii. W tym zakątku Europy zamierzali bogowie Celtów, mieszkający w Krainie Wiecznej Młodości, Tir-na-n-Og, byli przedmiotem wiary wówczas, gdy Kolumb odkrywał Amerykę i wówczas, gdy Newton odkrył prawo ciążenia. „Jeśli nasza mitologia i nasze legendy — pisał William Butler Yeats — różnią się czymś od legend innych krajów Europy, to tym, że aż po koniec wieku XVII tak prosty chłop, jak i dostojny magnat obdarza je zainteresowaniem lub nawet wierzy w nie bez zastrzeżeń. Homer należy do ludzi zasiedlonych. Nasze zamierzone królowe, nasi średnio-wieczni żołnierze i kochankowie nawet dziś jeszcze mogą sprawić, by na jakimś domokrążcy ścierpa skóra”. Mitologia celtycka miała swoich wielkich anonimowych poetów. Pod koniec XIX wieku, kiedy w mity mało kto już wierzył, zyskała jeszcze jednego poetę: Williama Butlera Yeatsa. Wielkość poezji Yeatsa jest po dziś dzień niezaprzeczalna. Był to zapewne — tak przynajmniej twierdzi T. S. Eliot — największy z poetów angielskich naszego wieku. Ale Yeats był nie tylko poetą. Był wytrwałym zbieraczem mitów i był świetnym prozaikiem, przetwarzającym mity w kształt opowiadania, czy literackiej legendy. Drukujemy jedno z tych opowiadań, wyjęte z tomu: zatytułowanego „Tajemnicza róża”. Przekład polski, który wyszedł spod pióra Józefa Birkenmajera, ukazał się w roku 1925. Przekład ten został na nowo przejrany i poprawiony.

JMR

— Moje włosy nie są tak piękne jak twoje, a teraz gdy wyjęła pióra z twych włosów, będę przebiegała w nich palcami i gładziła je bo one nie rzucają na me serce cienia strachu i pomroki.

Król naraz przypomniał sobie różne szczegóły, na wpół zapomniane i niepojęte, zagadkowe słowa pieśniarzy i prawodawców, przeróżne wątpliwości, w których się zagłębiał, oraz nieustanne własne osamotnienie. Drżącym głosem przywołał kochanków; wybiegli spomiedzy wiklin i rzucili mu się do nóg, błagając o przebaczenie. Ale on wydarł tylko pióra z włosów księżniczki i nie mówiąc ni słowa, skierował się w stronę zamku. Wkroczył do komnaty obrad i zebrawszy poetów i prawników dokotał siebie, stanął na podwyższeniu i powołał głosem donośnym i wyraźnym:

— Stróżowie prawa, czemuście kazali mi zgrzeszyć przeciwko prawom Eirinu? Układacze pieśni, czemuście mi kazali grzeszyć przeciwko tajemnicom mądrości? Wszak prawa zostały ustanowione przez ludzi dla dobra ludzi, lecz mądrość stworzyli bogowie i żaden człowiek nie może żyć w jej blasku, bo i ona i grad i ulewę i pioruny idą drogą, która jest niedostępna i zabójcza dla ludzi śmiertelnych! Prawodawcy i poeci, żyjcie zgodnie z waszymi upodobaniami i pozwalajcie Eocha Popędliwego, by władał nad wami, gdyż ja wyruszę, by odnaleźć swych pobratymców.

Powiedziawszy to zstąpił pomiędzy nich, wyrwał z włosów jednego, a następnie drugiego pęk piór siwego jastrzębia i rozsypanych je po wyszczałanej podłodze, wyszedł z miasta. Nikt nie odważył się pójść w jego ślady, gdyż oczy mu błyszczały, jak ślepią drapieżnego ptaka; odtąd też nikt go już nigdy nie zobaczył, ani nie usłyszał jego głosu. Niektórzy przypuszczali, że zamieszkał na wielki pośród złych duchów, inni utrzymywali, że przebywał odtąd pomiędzy czarnymi i strasznymi boginkami, które przez noc całą wysiadają nad bagnami w lasach, przyglądając się gwiazdom wschodzącym i zachodzącym w tych okudnych zwierciadlanych wodach.

EWA DĄBROWSKA

PANI

Pani Mania od niedawna mieszka u mojej babki. Zajmuje pokój na górze, jeden z dwóch, o których babka mówi, że nie wiadomo po co dziadek kazał je ongi przerobić z części strychu. A teraz gdy jakiś nieproszony gość przymówi się o weekend, niepodobna wykreślić się sianem i okazać niegościnną, skoro aż dwa pokoje stoją puste. A goście mają tę naturę, że najchętniej zjeżdżają latem, gdy jest najwięcej roboty w ogrodzie i nie ma się głowy do pogawędek, szykowania poczęstunków i noclegów. Bodajby któreś przyjechało w zimie, kiedy dzień wlecie się marudnie od rana do wiecznego wieczora i nie ma do kogo ust otworzyć! Tak, wtedy pies z kulawą nogą się nie zatroszczy jak się tu żyje samotnie w tym domu oddzielnym od świata, kiedy, aby przedostać się do furtki czy bodajże do studni, trzeba przedtem długo i mozolnie drażyć łopatą istne korytarze w śniegu — nikomu się wtedy nie chce ruszać z ciepłego kąta i przyjeżdżać z wiatry.

Tak zrzędził moja babka, szykując mi nocleg w pokoiku, przerobionym ze strychu, zawsze mnie tutaj lokuje, wie, że lubię tę zaciszną mansardę — mroczną, bo okno częściowo zasłania gałąź sosny — wołałaby zapewne, abym sypiała u niej, na dole, jednak nie oponuje, chce, abym przyjeżdżała tu jak najczęściej.

Dobrze się stało, że przynajmniej sąsiedni pokój przestał być wreszcie domem wakacyjnych natrętów. Pani Mania płaci skromny czynsz, oczywiście są to grosze, ale zawsze, stanowią one jakiś pożytek. Co prawda tylko taki pożytek z tego wszystkiego i jeśli babka liczyła na coś więcej, to się zawiodła.

Pani Mania to leń i próżniak. Do południa wyleguje się w łóżku, za to wieczorami wysiaduje do późna i szyje fartuchy, wypalając przy tym nie wiedzieć ile światła. Czasem stukot maszyny się urywa, słychać przeciągłe westchnienie, dobiegnie uszu strzępek rzewnej piosenki, brzękną struny gitary. Potem pani Mania z powrotem zabiera się do roboty, usypiam ukołysana monotonnym stukotem i poskrzypywaniem pedatu.

— Żeby mi choć czasem pomogła w ogródku! — skarży się babka. — Ale nie! Po całych dniach łazi po wsi z tymi fartuchami, tutaj zje, tam poplotkuje, ówdzie się prześpi. Ot, wałko!

Trochę w tym przymówki do mnie. Lubie mieć na stole świeże kwiaty, które stara kobieta pieczolowicie ustawia w



macierz, dała jej serce, które było jako serce innych; toteż gdy myślała o tajemnicy piór jastrzębich, przejmowała ją odraza. Gdy zgromadzenie się rozeszło, wezwał ją do siebie, powiedział jej, że jest piękna i wielbił ją szczerze i prosto, jak gdyby była pieśnią poetów; i prosił ją kornie, żeby go pokochała, gdyż był przenikliwy tylko w swych rojeniach. Przewyciężona jego wielkością, na wpół przystała, na wpół się wzbraniała, gdyż pragnęła posłubić wojownika, który by zdołał przenieść ją przez góry w swych ramionach. Król codziennie obdarzał ją upominkami; dawał jej puchary ze złota i pierścienie wykonane przez rzemieślników różnych krajów, suknie zamorskie, które, choć wyszywane w cudaczne wzory, mniej się jej podobały niż jasne szaty z jej stron rodzinnych. I wciąż nie wiedziała, czy ma się uśmiechać, czy zżymać, czy być powolną, czy odmówić swej ręki. On składał jej u stóp swą mądrość i opowiadał, jak to bohaterowie, skoro pomrą, powracają na ziemię i zaczynają na nowo swe trudy, jak wesoly i łagodny lud Dei wypędził ogromne, posępne i niekształtne Plemię Podmorskie i mnóstwo innych rzeczy, o których nawet Sidhe zapomnieli, może dlatego, że zdarzyły się tak bardzo dawno, a może dlatego, że nie miały czasu o nich myśleć. Wciąż jeszcze ona na wpół się wzbraniała, a on wciąż miał nadzieję, ponieważ nie mógł uwierzyć, by piękność, tak pokrewna mądrości, mogła osłaniać serce zgoła pospolite.

Na zamku był pewien smukły młodzieniaszek, który miał płowe włosy i był zręczny w zapasach i ujeżdżaniu koni. Pewnego dnia, gdy król przechadzał się po ogrodzie, znajdującym się między mostem zwodzonym, a lasem, posłyszał jego głos wśród zarośli łoziny, które osłaniały wodę fosy.

— Mój kwiecie, — mówił ten głos, — nienawidzę ich za to, że każą ci wplatać te śniade pióra w twe piękne włosy, tylko po to by ten drapieżny ptak na tronie mógł spokojnie spać w nocy.

Na to odrzekł cichy, dzwiczny głos — tak znajomy królowi i tak ukochany!

PASTORAŁKI



Ho la o la
pastyrze łode pola
du dy u dy
pastyrze łode budy
idźcie do stayenki
do świętej Panienki
i Grzegórz karbowy
pisarz prowentowy

hu hu u hu
bieżajcie co duchu
ekonom kulawy
wstańcie wszyscy z ławy
i ty Józek spyrka
złazże z tego wyrka
od miodu i strawy
ty Franek kaprawy
idźcie do stayenki
do świętej Panienki

ho la o la
pastyrze ze pola
weźcie dwa barany
mój Yanie kochany
miodu ze dwa dzbany
syrek pobielany

cepy i siekiere
skrzypczki i lire
wilcy się zwiadują
u — a nawołują
barana porwali
w boru rozerwali

z krzywoimi rogami
z czornemi kudłami
zebrali się chłopcy
i przysli do szopy
po śniegu po grudzie
dziwili się ludzie
przysli do stayenki
do świętej Panienki



wół, osioł chuchają
głowami kiwają
przylecieli ptacy
cip cip cip cy a cy
pastyrze bekają
na skrzypczkach grają
a Kajtek na drumli
a — u Burek skumli
tiu — li u — li
nie bec przy matuli
i basista hu — hu
gładzi bas po brzuchu
stanęli w stayence
przy świętej Panience
wchodzą trzej królowie
w koronach na głowie
z garbatym wielblondem
przychali londem
i pięknie ubrani
złotem haftowani
znoszą wielkie dary
w szkatule talary
e mu e mu

gwarzą po swoyemu
li li li i li
wszyscy się dziwili
A izleciatko kwili
pastyrze kłękają
cuśo ogladają
gwiazda zaświeciła

na niebie zatliła
nól szopą schyliła
u bi u by mu by
poklekaly baby
tiu li tiu li u li
usniyże matuli
w słomianej stayence
przy świętej Panience

MANIA

polewanym dzbanku, ale trzymam się z daleka, kiedy babka przykuca nad grządką, nie znam się na tej robocie i nie lubię w niej uczestniczyć, jeśli czasem pomogę w podlewaniu, to wszystko.

Najgorzej w suszę. Nieraz trzeba wyciągać ze studni po dwadzieścia i więcej wiader, ciężka to praca, ogród nie wart tego zachodu, ziemia tu marna, a pod spodem lity kamień, kwiaty nie mają siły na tym rosnąć mimo uczonych zabiegów, jakich im się nie szczędzi. Cóż, kiedy babka nie da sobie wyperswadować, że to już nie na jej siły.

— Zobaczysz! — mówi. — Szykuje tu nową grzędę, na róże. Wypisałam nowe krzaki, piętnaście sztuk, zobaczysz, jak przyjedziesz na przyszły rok. Żeby mi tylko chciał kto w tym pomóc! Ot, choćby ona. Schudłaby trochę od tego, na dobre by jej wyszło.

Ale pani Mania woli gonić po wsi z fartuchami i przy okazji zatrzymywać się tu i tam na plotki, nie w głowie jej róże i podlewanie.

Czasem, na moje usilne prośby, zagląda do mnie po sąsiedzku i stawia mi kabałę. Przedtem trochę się certuje, zamyka starannie drzwi i prosi:

— Niech pani aby tylko babci się nie przyznaje, babcia by się na mnie gniewała. Ale ja tam nie nie mówię na starszych ludzi, to trudno, starszym ludziom trzeba pobrażać, przeżyli już swoje.

Potem rozkłada karty i długo się nad nimi zastanawia.

— O coś się pani kłopotze — mówi w skupieniu — czegoś pani szuka, może pani znajdzie, a może i nie znajdzie, karta nie pewnego nie pokazuje. List pani dostaniesz z daleka, tam pani jest myślami, daleko, nie tutaj. Ot, i takie to nasze życie, dużo już widziałam, niczemu się nie dziwię, a pani niech się nie trapi, każdy szczęścia szuka jak umie, każdemu jego los pisany, nie się w nim nie zmienia.

Zamyśla się i błędzi wzrokiem po kartonach, poprzipinanych do ściany.

— Piękne to — powiada. — Ma pani zdolność, wszystko pani umie oddać. Ja człowiek nieuczony, wypowiedzieć się nie potrafię, ale tam, w mieście, pewno panią chwala.

Teraz i ja przenoszę spojrzenie na porozwieszane w pokoju szkie, milczenie się przedłuża, pani Mania czyta w nim nie gorzej jak w kartach.

— Nie zniechęcaj się pani — kiwa do mnie głową. — Pracować trzeba, nie sa-

mo nie przychodzi. Zdolna pani jest, przyjemnie człowiekowi patrzeć na te obrazki. Ot, namalowały mi pani kiedy jakiś widoczek: drogę i rzeczulkę, na rzeczulce mostek i kobiecina z tobołkiem, żeby szła tą drogą.

Przypomniałam sobie o tej prośbie w jakiś chmurny dzień i namalowałam olejny widoczek, z wyobraźni, była tam droga i mostek, kobiecina wyszła mi pokracznie, więc z niej zrezygnowałam, zrobiłam na tym miejscu wielki krzyż w oplotku. Wieczorem zaniosłam obrazek mojej sąsiadce.

— Ot, jak pięknie! — wykrzyknęła. Jak nastrojowo! Pusta droga i krzyż obok niej, zupełnie jak to moje życie.

Potem wyszukała starą, złotą ramkę, obrazek w sam raz do niej pasował, zawisł nad łóżkiem i pani Mania odrywając się dla odpoczynku od roboty, lubi na niego patrzeć.

Jesienią pani Mania chodzi na grzyby. Zna dobrze tutejsze lasy, nie boi się zabłądzić, choć nie jest z tych stron; przyjechała skądś ze świata, nie ma tu nikogo bliskiego.

— Ja nie dla tych grzybów tak chodzę — tłumaczy mi niekiedy. — Ot, idę tak sobie, słucham jak drzewa szumią i wspominam całe to moje życie. Przyroda mnie uspokaja, uciśza tę żalność. A może i schudnę przy okazji — dodaje filuternie.

Przyznaję jej słuszność, choć nie zanosi się na to, aby pani Mania naprawdę miała schudnąć. Waży ze sto kilo, albo i więcej, z pyzatej twarzy krew mało jej nie tryśnie, zaś po każdym spacerze wraca do domu głodna jak wilk.

Oczywiście jest to uboczna troska. Bo najważniejsze jest to, aby wędrować samotnie, daleko przed siebie, gdzie oczy poniosą, przez las, który szumi i uspokaja, zaś jesienią piękny jest ponad wszelki podziw.

Bywa także i straszny. W lesie są żmije, czarne, z zygżakiem na grzbiecie, grube jak ludzkie ramię. Wiją się w poprzek ścieżki, zwisają z gałęzi, starczy chwila nieuwagi i już po tobie. Ale pani Mania śmiało idzie naprzód i nie lęka się gadów. Zna zakłęcie, którego nauczyły ją siostry w klasztorze, gdy była jeszcze młoda i nie mieszkała w tych stronach. Brzmi ono tak:

„Wchodzę w ciemny las,
Biorę Pana Jezusa pas,
Matki Boskiej koronę,
Wszystkich świętych w obronę,



A ty, gadzie przeklęty —
Przeklinaj cię Duch Święty
I ja ciebie przeklinam:
Idź precz ode mnie!”

I gad, sycząc w bezsilnej złości, umyka w inną stronę, precz od pani Mani, która bezpiecznie idzie przez gąszcz i rozpamiętuje swoje minione życie.

Nie tylko żmije grożą nieuwważnym wędrowcom. Zdarzyło się, że wyszło raz z zarośli stado dzików: maciora i pięcioro młodych, pasiastych warchlaków.

— Moja pani! — opowiada Mania — przejęciem. — Jak ich zobaczyłam, to stanęłam jak wryta, oni też stanęli, maciora powęszyła, powęszyła tym swoim ryjem, spojrzęła na mnie, a potem jak nie zawróci! Jak nie ucieknę w las!

— Wcale się nie dziwię! — powiada później babka i śmieje się swymi drobnymi, gęsto osadzonymi zębami, z których ani jeden nie jest fałszywy. — Ja bym też się zlekła i uciekla, gdybym ją nagle zobaczyła w lesie!

Wszystko to fraszka. Pewnego dnia, o zmierzchu, pani Mania przybiegła podniecona. Długo nie chciała nic mówić, machała tylko ręką i umykała spojrzeniem w bok, jakby tam, w kacie, kryło się coś, co powinno dać odpowiedź na nasze niespokojne pytania. Dała się wreszcie uprosić i wyjawiała nam, co ją spotkało: natknęła się w lesie na białego dzika.

— Myślałam, że to baran — opowiadała, wlepiając w nas kolejno swoje błękitne oczy. — Coś białego leżało w krzakach i nie ruszało się. Podchodzę bliżej, patrzę, toż to dzika świnia, całkiem biała, jak śnieg. Zwęszyła mnie widocznie, bo zaczęła czoło marszczyć nad tym ryjem okropnym, a kły miała, że... To ja w nogi i biegłam tak z pół kilometra, a ona za mną, za mną, ledwo jej uciekłam!

Potem, kiedy drzwi za panią Manią się

zamknęły, babka patrzy na mnie i kreśli palcem kółeczko na czole.

— Czego to nie wymyśli — powiada. — Widział kto kiedy białego dzika? Z nudów tak zmyśla, ten próżniak!

Potem rozmawiamy o tym i owym — że tego lata moc roboty było w ogrodzie, że jesień się zbliża i pora mi już zbierać się do miasta.

— Po co się tak spieszysz do tego miasta — wzdycha babka. — Co cię tam ciągnie? Posiedziałyś ze mną dłużej, albo i została na stałe, dobrze by ci tu było, lepiej niż tam.

— Wedle stawu grobla — odpowiadam. I jak zwykle zaczynamy się spierać. Przekonuję babkę, że gdyby u mnie zamieszkała, byłoby lżej nam obu, a jej z pewnością. Ot, chociażby do sklepu, do kościoła miałaby bliżej, nie musiałaby wędrować trzy kilometry po wertepach, a w zimie to jest nie byle co.

— Ja tu już umrę — mówi babka. — Tu mi dobrze, nie wytrzymałabym bez mojego ogródka.

Kiedy ją całuję na dobranoc, wzdycha jeszcze raz:

— Nie rozumiem! Ze też chce ci się tak nonantować? Widy tu masz dom, Czego ty tam szukasz?

— Może znajde — wzdycham i ja. — A może i nie znajde. Każdy ma swój los, taki a nie inny.

Wieczorem długo nie mogę usnąć. Z sąsiedniego pokoju coraz dobiega mnie westchnienie, czasem skrzypną sprężyny i coś ciężkiego ociera się o ścianę, właśnie tak jakby dzik przewracał się po łóżku.

Podchodzę boso do okna, opieram się o parapet i patrzę jak kołyszą się czuby sosen, zza których blady, jesienny księżyc prósz światłem na stromiznę dachu, na grzędę georginii, na dalekie, umykające za horyzont lasy, w których drzewa białe dziki, marszcząc niespokojnie czoła.

NA SKRAJU KRÓLESTWA



Fot.: E. Kudał

Nieomal przez stulecie istniało królestwo założone przez Karola Scheiblera. Tak — królestwo. Pół tysiąca hektarów powierzchni ogrodzonej warownym murem. Własne ulice, wśród nich pryncypalna — ulica Emilii, bo tak miała na imię córka protoplasty rodu. Własne koszar dla armii robotników na Księżym Młynie, gdzie o dziesiątej wieczorem zamykano bramy i stróżę pilnowali, by nikt nie przedostał się przez ogrodzenie. Własne bocznicie kolejowe, szpital, szkoła dla protegowanych, sklepy, folwarki i las.

Smutny rząd domów, po północnej stronie Placu Zwycięstwa, postawił również Karol Scheibler. Nawet kolorowe tynki, którymi przystrojono je niedawno z okazji przebudowy, nie mogą ukryć ich koszarowego charakteru.

Po przeciwnej stronie placu, zwanego dawniej Wodnym Rynkiem, mieściła się pierwsza z założonych przez Scheiblera fabryk — „stary giszef”, jak mówią do dziś sędziwi robotnicy. Kiedy Łódź w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia otrzymała swój pierwszy „dworzec” kolejowy w Rokicinach, wytyczona w kierunku stacji ul. Rokicińska przecięła fabrykankę terytorium odgradzając odeń Wodny Rynek i stojące przy nim „famuly”. Pozostały one na skraju królestwa.

Studnie głębinowe w „starym giszefie” pracowały pełną parą, wkrótce więc wyszło bagnisko, jakim pierwotnie był rynek i na plac zaczęły jeździć chłopscy wozy. Dwa razy w tygodniu — targowisko. Już o czwartej nad ranem zjawiali się tu robotnicy z Księżego Młyna, by zrobić zakupy, zanim o piątej syrena stawała je przy warsztacie na długie 12 godzin. Biedacy i bezrobotni czekali do wieczora, gdy odpływała rzesza kupujących, a chłopcy zrywali resztki za grosze, nawołując „na bankrot, ludzie, sprzedaję na bankrot!”

Nie upłynęło wiele lat, a ten kolorowy pejzaż zastąpił na Rynku czarny, posępny tłum strajkujących. I tak już było coraz częściej. Każda niemal manifestacja, wykluwająca się u bramy którejś z setek fabryk łódzkich, kończyła się właśnie tutaj. Nie ruszając się latami od okna w familijaku, można było napisać dzieje rewolucyjnych walk łódzkiego proletariatu. Ci ludzie jednak nie spisywali historii, oni ją tworzyli.

Nie raz, a setki razy obserne sienie i podwórze tych domów dawały schronienie strajkującym, kiedy cofać się trzeba było przed kozakami, a potem przed policją, która konno wdzierała się nawet na pierwsze piętro.

Są jeszcze świadkowie tamtych czasów. Kazimiera Rayzacher ma dziś 68 lat. Tu się urodziła i całe życie przemieszczała w tej samej izbie. Opowiada: „Było to chyba w 1907 roku. Mieszkał nad nami rewolucjonista, nazywał się Poczeka. Któregoś dnia nad ranem wracał z akcji na kasę Monopoli. Był ranny, broczył krwią. Zdażył tylko postawić worek ze zdobytymi pieniędzmi na strychu i uciec przez drugą sien, a już wpadli żandarmi. Wórka nie dostali, bo moja babcia natychmiast go ukryła. Potem zgłosili się po pieniądze inni. Poczeka rozstrzelano w Maniesie...”

Podobnych opowieści żyje tu mnóstwo, ułożyły się one w legendę tych domów. Pan Aleksander W. mówi: „Pewnie, że Plac Zwycięstwa, naszego zwycięstwa”. Urodził się również w królestwie Scheiblera, w familiaku na Dołku, tam się ożenił. „Z żoną żyłem tylko rok, potem się rozeszliśmy, bo nie było między nami zgody. Ja byłem poglądów obecnych, a oni — to znaczy żona i jej rodzina — takich, co to „ojczyznę, wolność” nam zwrócić, panie”. Dziś Aleksander W., emeryt, jest członkiem terenowego komitetu FJN, organizuje mieszkańców do pracy społecznej przy budowie kwiatników i ogródków dziecięcych.

Nie można nie wspomnieć również o „wnuczce Scheiblera” — jak sama żartobliwie się nazywa — 72-letniej Marcie Kujawińskiej. Dziadkowie przyjęli ją tu z Turku w roku 1867, zaledwie 13 lat po uruchomieniu fabryki. Ojciec miał wówczas dopiero rok, a wszystkie z tych domów były jeszcze parterowe. Ojciec przepracował u Scheiblera 62 lata, ona sama poszła do fabryki w jedenastym roku życia. Ostatnie z 53 lat spędzonych przy warsztacie przypadły już na okres po wyzwoleniu. Wyżywała się wówczas w pracy społecznej, nie sposób chyba znaleźć organizacji, w której by się nie udzielała. „Posyłał mnie na wieś, na skup, bo miałam podejście do chłopów. Wchodziłam do chaty, mówiłam „niech będzie pochwalony”, trochę razem z gospodarzem ponarzekałam, i ani się spostrzegł, kiedy był uświadomiony. Następnego dnia — murywane — odwoził ziemniaki, czy zboże...”

Wybrałem się do domów familijnych przy Wodnym Rynku, by zbadać ich żywot współczesny. Nieoczekiwanie dla samego siebie zapuściłem się w historię. To było chyba nieuniknione — stwierdziłem później. Żywa tradycja robotnicza i ludzie, których nie uda się od niej oderwać. Ludzie, którzy są jakby klamrami

„między dawnymi, a nowymi laty”. Choć pozostało ich niewiele, oni właśnie tworzą ów klimat, który nie pozwala traktować „familiaków” tylko jako zwykłe rudery. Wilgoć pod oknami, odrapane korytarze, brak elementarnych wygód, jednym słowem — smutna spuścizna. Ale wystarczy przekroczyć którekolwiek drzwi, wdać się w rozmowę z ludźmi, których całe życie upłynęło w tych murach, by człowiek mógł się poczuć jakoś ciepło i optymistycznie. To brzmi banalnie. Nic nie poradzę, prawda bywa banalna.

W czterdziestym piątym, po wyzwoleniu, przybyli tu nowi ludzie. Historia rodziny Petrusów jest wprost książkowa. Rekwizyty w ich mieszkaniu robią wrażenie jakby dobranych przez scenografa, któremu polecono urządzić typowe wnętrze współczesnego, robotniczego domu. Za łóżkiem, opatulony na zimę, stoi motocykl, na ścianie oleodruk i duże zdjęcie ślubne, pod oknem nowe „super-radio”. Czysto i schludnie. Jest niedziela, ojciec rodu, Stefan Petrus, leżąc w łóżku „odchorowuje” całonocne zmęczenie. Ma dużo czasu, by snuć swoją opowieść.

Był jednym z czworga dzieci w rodzinie wyrobniaka rolnego w biednym wśród biednych powiecie Końskie. Skończywszy 11 lat, poszedł na służbę do gospodarza. W 42 roku ożenił się z Franciszką, taką samą jak on wyrobnicą. Biedowali w jednej izdebce na komornem, aż przyszedł maj 1945 roku. I wtedy Stefan wybrał się do Łodzi. Trafił do dzisiejszych Zakładów im. Obrońców Westerplatte. Tam pozostał do dziś. Od niewykwalifikowanego czyściciela masy awansował stopniowo, od paru lat jest już mistrzem salowym. W zakładzie ukończył szkołę, na kursach zdobył wiedzę potrzebną mistrzowi.

Żona przywędrowała za nim w parę dni później, z dwutygodniowym Zenkiem. To był wówczas cały ich kapitał. Gnieździł się po różnych komórkach na Bałutach, po paru miesiącach dostali wymarzone mieszkanie. Tu, w „familiaku” przy Wodnym Rynku.

19-letni Zenek kończy dziś technikum, jest jednym z najlepszych uczniów w szkole. Oboje — Stefan i żona — są zgodni co do tego, że powinien uczyć się dalej. Nie potrafią jednak doradzić kierunku, w tym miejscu ich wiedza się kończy, a doświadczenie życiowe nie nie podpowie. „Muszę sam wybrać” — mówi.

Jest jeszcze młodszy syn — Janek. Tu muszę wyjaśnić, że do Petrusów trafiłem właśnie śladem Janaka, „ważnej figury” w dziecięcym samorządzie podwórkowym. Trzy-

ma kasę samorządu — bagatela, 3 tysiące złotych. Połowę zbierali ze sprzedaży złomu i makulatury, resztę otrzymali jako nagrodę za najlepszy w dzielnicy ogródek dziecięcy. Wybierają się wiosną na wycieczkę po kraju. To Janek tak zasmakował w podróżach, gdy w zeszłym roku z 80-osobową delegacją dzieci z całej Polski gościł w Belwederze u Aleksandra Zawadzkiego.

Chłopcy lubią słuchać, kiedy im opowiadam o wojnie — mówi Franciszka. Sama dużo przeżyła — gestapo rozstrzelało mi brata, cudem uciekłam z łapanek. Słuchają i nie chcą wierzyć, wszystko traktują jak jakiś film. Ale niech tylko rozmowa zejdzie na przedwojenną biedę, niech ojciec wspomni, że chleb jadł kiedyś tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, zaraz wzruszają ramionami i wyskakują stale z tym samym:

— Mama, teraz jest wiek dwudziesty, świat idzie z postępem, do tyłu nie wraca!

Telewizję, to lubią! Na transmisje sportowe biegają do kolegów. Starszy nawet prawo jazdy zrobił przez kurs telewizyjny. W domu też pomaga, garnki zmyja, podłogę uszuruje. Nie powiem, dobre dzieci.

Tak mówi Franciszka, córka wyrobniaka ze wsi zabitej deskami, dziś robotnica z 18-letnim stażem, która wyleczyła się z choroby trzustki dzięki możliwości dwukrotnego pobytu w krynickim sanatorium, która umie obejrzeć się w przeszłość i ocenić przeżyty dystans.

Później u Mikołajczyków, z matką — kucharką w przedszkolu, kobietą z komorniczym również rodowodem dyskutuję o przyszłości córki. Janka właśnie rozpoczęła pierwszy rok nauki w liceum. Co będzie lepsze — Akademia Wychowania Fizycznego, czy handel zagraniczny?

Mówi Rayzacherowa: — Moja córka wyprowadziła się na Piotrkowską. A w podtekście słyszę: — Wyprowadziła się daleko, w lepszy świat. Jest urzędniczką na jakimś kierowniczym stanowisku, ale moja rozmówczyni, nie wie, gdzie pracuje. Niewiele więcej potrafi powiedzieć o synu. Pytam, czy często ją odwiedzają. Odpowiada: — Jak dzieci się poženią, to jest jaki z nich pożytek?

Czy zwykła kolej rzeczy, zwykle zapomnienie? Może tak, może nie. Raczej nie. Bo oto z innym lokatorem „familiaka” bliski krewny zupełnie rozluźnił stosunki, kiedy dostał mieszkanie w blokach. Po prostu wstydzi się (!) takiej rodziny. Dobre dzieci Petrusów też chyba niedługo odejdą z pieśnią na ustach, że teraz jest wiek dwudziesty. Pozostaną tu ludzie sta-

rzy, którzy tworzą okres życia mają już poza sobą i będą wieść takie to dziwne rozmowy, jak podłuchana u Kujawińskiej:

Ona: — Mam żal do moich towarzyszy z fabryki. Jak leżeliśmy oboje z mężem w szpitalu, to nikt przez tyle tygodni do nas nie przyszedł. A teraz przysyłają papierek o zebraniu, obecność obowiązkowa. Czy ja kiedy opuściłam jakieś zebranie, żeby zaraz takie rzeczy pisać?

Sasiadka (również rencistka w podeszłym wieku): — Do komunistów nie ma pani o co mieć pretensji, bo pani jest z pepeesu...

— Co też pani mówi, teraz to wszystko razem, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

— E tam, moja kochana, tak niedawno się zjednoczyli...

Dla ludzi, którzy pamiętają barykady 1905 roku, rzeczywistość może się to wydawać „niedawno”.

Miałem napisać reportaż

o przygotowaniach do tradycyjnych świąt w tradycyjnym skupisku robotniczym. Nic z tego nie wyszło. Nie ma jednolitego skupiska, co drzwi, to inni ludzie. I nie ma przedświątecznej atmosfery. Poza garstką, która tu spędziła całe życie i godzi się na zawsze pozostać, wszyscy inni jakby siedzieli na walizkach.

Chciałoby się dla tych ludzi ciepłych mieszkań z łazienkami o białych ścianach, chciałoby się już, choć zamiary trzeba mierzyć na siły.

Czekają na skraju ziemi obiecanej, tej prawdziwej — tym razem — już bez cudzysłowu.

*) Jedną z akcji zorganizowanych przez PPS-Frakcja Rewolucyjną. Na ulicy Miłsza (dziś Kopernika) napadnięto na furgon „Monopoli”. W akcji zginęło 2 Kozaków. W odwet oddział kozacki wkroczył do fabryki Kutnera, przy ul. Łąkowej, gdzie dokonał masakry robotników.



dawne dobre czasy

ŁÓDZIANIN KUPUJE NAJDRÓŻSZE SKRYPCE!

Na koncercie w Berlinie grał p. G. Barcewicz na niezwykle skrzypcach, które w przeddzień koncertu nabył za 50 000 franków znany amator muzyki p. H. Grohman, prezes łódzkiego Tow. Muzycznego, skrzypce znane są, jako najlepiej zachowane z dwu skrzypiec Stradivarius Antoniusa z 1717 r. Na skrzypcach tych p. Barcewicz grał będzie w Warszawie i Łodzi na najbliższych koncertach. („Rozwój”, rok 1900, II półrocz.)

DRUGA HERBACIARNIA

Przy rogu ulicy Pustej i Piotrkowskiej powstaje z inicjatywy Miejskiego Komitetu Kuratorium Trzeźwości i składać się będzie z kilku oddziałów: jadalni, biblioteki, sali gimnastycznej, kregielni i sali zabaw tanecznych. („Rozwój”, rok 1900, II półrocz.)

O MORALNOŚĆ PUBLICZNĄ!

Duże grono nauczycieli szkół przy ul. Zawadzkiej zbiera podpisy na petycji, do rządu gubernialnego z prośbą o usunięcie istniejącego przy tejże ulicy lupanaru. („Nowy Kurier Łódzki”, rok 1913, II półrocz.)

ŁÓDŹ JEST WSTRĘTNYM MIASTEM.

lecz posiada najpiękniejszą kobietę! to zdanie wygłosił niedawno pewien literat wiedeński. Aby dać odpowiedź, która z łódzianek jest najpiękniejszą — idziemy wszyscy na największą maskaradę Sylwestrową w Sali Filharmonii. Łódzianki nadsyłać swe fotografie — Oklenko i, w Filharmonii do 31 grudnia... („Republika”, rok 1923, IV kwartał).

BEZROBOTNI LEKARZE! Sprawa zlikwidowania bezrobocia

lekarzy kasy chorych, stol w dalszym ciągu na martwym punkcie. Ministerstwo Pracy stol też na stanowisku poprzednim, a Ministerstwo Zdrowia dość niewyraźnie zajęło stanowisko...

„Kurier Łódzki”, 1923.

SWATKA — uskutecznia tylko w lepszych sferach ul. Dowborczyków 33 m. 3 II podwórze, parter (Juliusza) pod „Tola”.

„Kurier Łódzki”, 1923.

Rodzina chorego powinna być

szczepiona. Tyfus w mieście Dział Sanitarny Wydziału Zdrowia dokonał szeregu masowych szczepień ochronnych — 800 osobom przy ul. Cegielnianej, Rybnej i Lelewela.

„Kurier Łódzki”, 1923.

JASNOWIDZ Ossowiecki przyjechał z Warszawy, przyjmując cały dzień, honorarium od złołtego, ul. Gdańska 18 m. 2.

DAM 200 zł za wyrobienie jakiegokolwiek posady byleby była stała, mogą złożyć i wyższą kaucję. Of. „T. F.”.

„Kurier Łódzki”, 1923.

SYBERYJSKIE MROZY W ŁÓDZI!

Wczoraj zanotowano 20 stopni poniżej zera. Znaczna wyżłka oen za węgiel. Dlaczego nie ustawiono jeszcze koszy z kołosem? Ciepła jest dola polityantów, szoferów i doradców do władz, aby przez swoją inercję zapobiegły wypadkom drożenia „czarnych diamentów”...

Express Wieczoray”, 1923.

ODGŁOSY

rozmawiają

z głównym architektem Łodzi

mgr inż. arch.

E. BUDLEWSKIM

(Z listów do Redakcji)

„Czy tak być powinno? Najpiękniejszy chyba w tym rejonie dom mieszkalny usytuowany między parterowymi domkami i gołębnikami. Myślę o wieżowcu, wybudowanym u zbiegu alei Kościuszki i ulicy Zwirki...”

„Z uwagą i niepokojem obserwuję co nasi urbaniści wyprawiają na ulicy Wojska Polskiego. Zbudowano tam dziwne krętą asfaltową jezdnię. A dojdzie do tramwaju...”

„Tyle się w Łodzi buduje, ale przeciętnemu mieszkańcowi nie łatwo się w tym wszystkim polapać, dojrzeć no urodę miasta...”

ODGŁOSY — Panie inżynierze, te fragmenty listów to motto naszej rozmowy. Jednocześnie niech zastąpią one pierwsze pytanie.

Inż. E. BUDLEWSKI — Nie jedyne to listy. Napływają i inne. Ktoś był np. oburzony dlaczego na placu przed wieżowcem przy ulicy Narutowicza nie wybuduje się olbrzymiego domu mieszkalnego, lecz zakłada się kwiatniki i jezdnię? Ktoś inny po prostu postuluje, aby przenieść dworzec kolejowy Łódź-Fabryczna na skrzyżowanie ulicy Strykowskiej z wiaduktem. Czy trzeba dodawać, że propozycje te są i niesłuszne i nierealne?

O — Świadczy chyba jednak i o tym, że niewielu mieszkańców Łodzi orientuje się w ogólnych projektach zabudowy i rozbudowy, nie posiada wizji przyszłego miasta. Dlatego zwróciłem się właśnie do pana.

B — To już nie wizja. Plan urbanistyczny Łodzi to konkretny plan działania sprecyzowany pod względem technicznym i ramowo zaakceptowany ekonomicznie. Właśnie w tym planie zawarte są i odpowiedzi na wątpliwości autorów dwóch pierwszych listów, a pośrednio i trzeciego. Otóż wieżowiec usytuowany na przedłużeniu Alei Kościuszki jest jednym z istotnych ele-

mentów plastycznych przyszłej arterii komunikacyjnej Północ — Południe.

Obecna Aleja Kościuszki przecina ulicę Zwirki, będzie przedłużona do ulicy Czerwonej, następnie Wólczańskiej i dalej do Pabianickiej. Będzie to ważna i nowoczesna arteria komunikacyjna o szerokości 70-

O — Przedłużenie Alei Kościuszki oraz przebudowa ulicy Wojska Polskiego to tylko fragment ogólnego perspektywnego planu urbanistycznego Łodzi. Oczywiście nie jest możliwe jeszcze ogólne omówienie całego planu. Co jednak stanowi jego najbardziej charakterystyczną cechę?

80 metrów. Zrozumiałe, że przy takiej arterii powinny stać budynki wielokondygnacyjne, dziesięcio i jedynasto-piętrowe. Ten właśnie, o którym mówimy jest pierwszym, i jego lokalizacja jest zrozumiała dla urbanisty, ale może nie być zrozumiała dla łodzianina nie znającego perspektywnego planu rozbudowy miasta. Dodam, że w kierunku północnym Aleja Kościuszki łączyć się będzie z poszerzoną ulicą Zachodnią. Plan urbanistyczny przewiduje wyburzenie jednej strony ulicy Zachodniej, tej strony od ulicy Piotrkowskiej. W rezultacie ulica Zachodnia stanie się w przyszłości szeroką dwujezdniową arterią.

Dwujezdniowa, z bezkolejowym dojeżdżeniem do linii tramwajowej będzie również w przyszłości ulica Wojska Polskiego. W tej chwili wiele już tam zrobiono. W nie tak odległej perspektywie u zbiegu ulic Wojska Polskiego, Strykowskiej i Szosy Warszawskiej powstanie dwupoziomowe skrzyżowanie na pewno jedno z najnowszych w kraju. Teren zaś między ulicami Północną i „szybką” arterią komunikacyjną ulicą Wojska Polskiego w minimalnym tylko stopniu będzie terenem inwestycji budowlanych, to teren głównie „zielony”, teren wypoczynkowy dla mieszkańców tej części miasta.

B — Układ. Układ koncentryczny, jako najbardziej moim zdaniem prawidłowy. Obecnie miasto jest rozciągnięte wzdłuż osi Północ — Południe. Projekty urbanistyczne zmierzają do rozbudowy dzielnic położonych na Wschód i Zachód od Śródmieścia. Układ koncentryczny oprócz swoich wad ma i zalety szczególnie przy rozwiązywaniu problemów komunikacyjnych. Nie wolno też zapominać, że w Łodzi układ kanalizacyjny biegnie ze wschodu na zachód. To obniża koszty zabudowy, a względy ekonomiczne są przecież w planowaniu niezmiernie ważne.

O — Te względy ekonomiczne odgrywają zapewne i niepoślednią rolę przy wyburzeniach nieodłącznych przecież podczas realizacji nowych projektów urbanistycznych.

B — Oczywiście. Wyburzenia tak ze względów społecznych jak i ekonomicznych pragniemy ograniczyć do niezbędnego minimum. Nie da się ich jednak uniknąć chociażby przy budowie głównych tras komunikacyjnych. W ogóle problemy komunikacyjne to problem „wiodący” w całym planie. Łódź przecież budowana była dla drożki, a teraz jest samochód i to dużo samochodów. Szerokość głównej ulicy, ulicy Piotrkowskiej wynosi u nasady 16 metrów łącznie z chod-

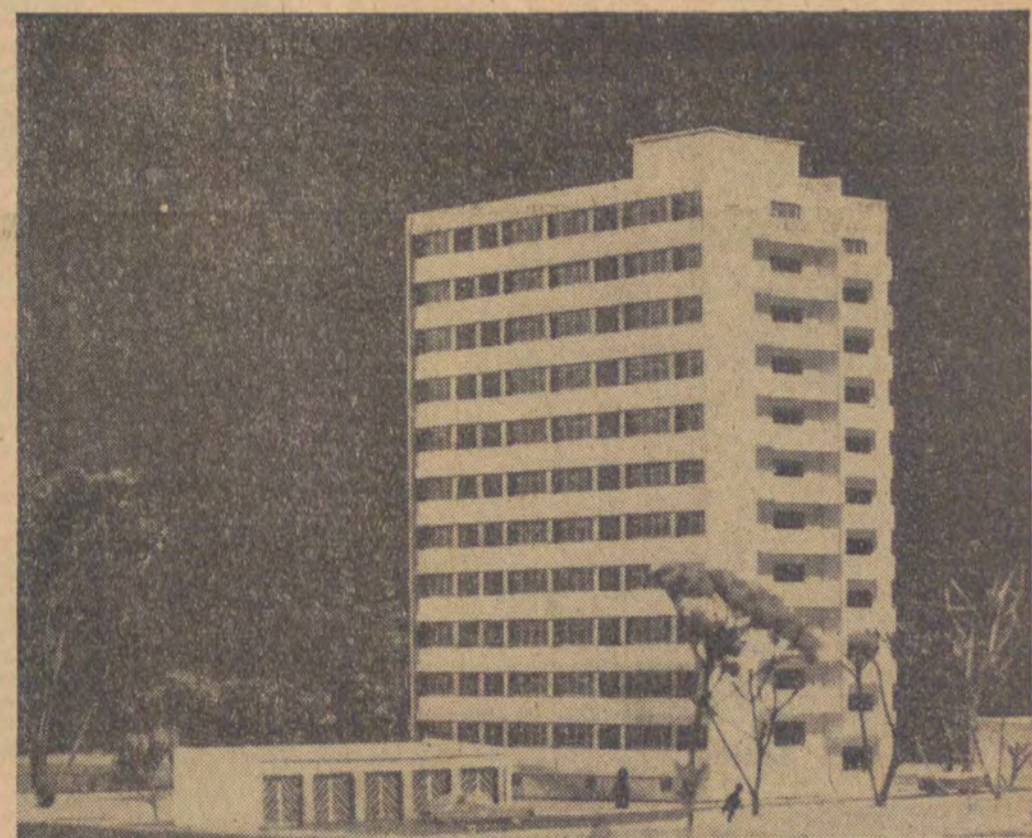
nikami. Czy taka ulica może spełnić nowe funkcje jakie na niej ciąży? A przecież nie mniej ważne jest jeszcze i to co jeden z autorów listu nazwał „urodą miasta”. Plan przewiduje więc stopniowe wyburzanie i budowę ośmiu nowych tras Północ — Południe i Wschód — Zachód. Północ — Południe to trasy: Żeligowskiego — Łąkowa, — Żeromskiego, Sterlinga — Targowa, Kopcińskiego — Tatrzańska i wspomniana już trasa Zachodnia — Aleja Kościuszki. Wschód — Zachód to przede wszystkim szybkie trasy: Ogrodowa — Północna, Narutowicza — Zielona, Główna — Mickiewicza i Milionowa — Czerwona. Prace przy budowie tych tras prowadzone będą stopniowo, niemniej świadomość przyszłej ich rozbudowy może wyjaśnić wiele pozornie nielogicznych aktual-

ne. W Łodzi odrzucono koncepcję budownictwa nie gwarantującego podstawowych wygód, myślę o wzorach budownictwa gdańskiego. Kryterium maksymalnej oszczędności oczywiście jednak nas również obowiązuje. Cały więc wysiłek zmierza obecnie w kierunku budownictwa nowoczesnego, budownictwa oszczędnego, a równocześnie budownictwa urozmaiconego plastycznie, ciekawego i zróżnicowanego architektonicznie. Mamy tu już łatwo sprawdzalne przez wszystkich osiągnięcia. Przyszłość oczywiście należy do budownictwa lekkiego, budownictwa, któremu nie będzie grozić tzw. „zestarzenie mo-

mieszkaniowych, Dąbrowie, Widzewie, Teofilowie, Zarzewiu. Nowe oblicze nadaje się Alejom Politechniki i ulicy Wojska Polskiego. Połączono ulicę Gagarina z ulicą Rzgowską a także ulicę Kilińskiego z ulicą Rzgowską. Prace oczywiście nie są jeszcze zakończone, brak wielu elementów architektonicznych, ale dla kogoś kto bacznie obserwuje rozbudowę Łodzi łatwo będzie dostrzec, że są to fragmenty realizacji olbrzymiego perspektywnego planu przeobrażenia naszego miasta.

Wielkie zmiany zaszły również w dzielnicy uniwersyteckiej, przy ulicy Narutowicza i sąsiednich terenach przyszłego parku wypoczynkowego. Powstał gmach dla studentów zagranicznych — popularna Wieża Babel, budowane są kompleksy budynków far-

URODA MIASTA



Budynek mieszkalny. Budowa rozpoczęła w roku bieżącym na Osiedlu Dół — Wschód. Projekt powtarzany na osiedlu Dół czterokrotnie, na osiedlu przy ulicy Armii Czerwonej sześciokrotnie, na osiedlu Zubardz pięciokrotnie i na osiedlu „Wielkopolska” siedmiokrotnie. Mieszkania głównie typu M3 i M2. Autor projektu mgr inż. arch. Danuta Wochno.

nych rozwiązań urbanistycznych.

O — A nowe budownictwo?

B — Każdy zna lekarstwa, które leczą, ale i które powodują wtórne objawy, często niepożądane. Nie do pomyślenia jest już wznoszenie budynków metodą tradycyjną. Zdajemy sobie sprawę, że szybko i tanio można budować tylko metodami uprzemysłowionymi. To jest właśnie lekarstwo. Wznoszone tymi metodami budowle są jednak często nieciekawe architektonicznie, nużą swą jednostajnością, a przecież każdy wznoszony budynek jest uwalniany w krajobrazie. I to są te objawy niepożąda-

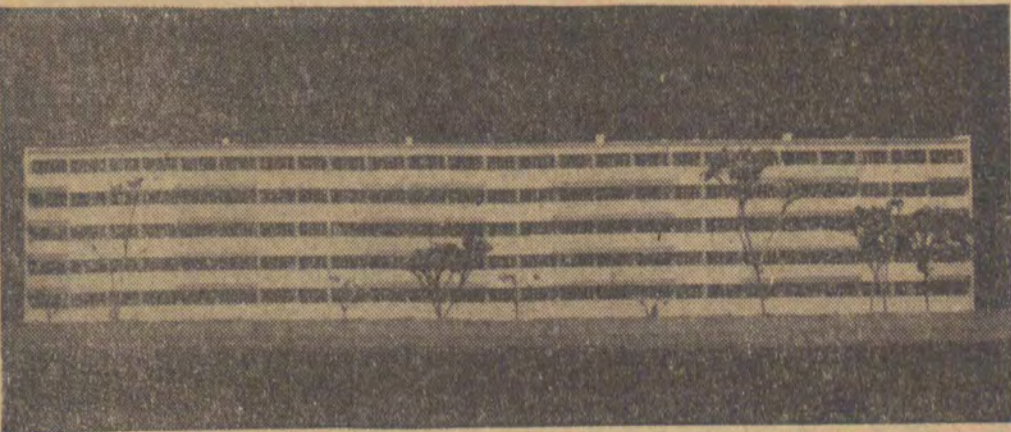
ne. Takie zjawisko, „wyprzedzające jeszcze zastarzenie techniczne, obserwujemy w Śródmieściu. Możliwe, że będziemy kiedyś budować domy z materiałów termoodizkacyjnych, które będzie można po kilku latach dowolnie zmieniać.

O — Panie inżynierze, ostatnie pytanie. Za kilka dni koniec roku. Jaki jest urbanistyczny — architektoniczny bilans Łodzi?

B — Bardzo dodatni. To nie tylko nasza zawodowa opinia, to również opinia ludzi, którzy nasze miasto odwiedzają po dłuższym okresie rozstania. W tym roku rozpoczęło lub kontynuowano prace na terenach nowych wielkich osiedli

macji i szkoły pielęgniarów. Do tego dochodzą: rozbudowa już istniejących dzielnic mieszkaniowych, budownictwo usługowe — między innymi prace przy wielkim domu towarowym na Placu Niepodległości — centralnym punkcie dwustutysiecznej dzielnicy Górna, budownictwo rozproszone, roboty wyburzeniowe na Narutowicza, Sienkiewicza, Zamenhofa, wiele nowych zagospodarowanych terenów zielonych.

To jest naprawdę dodatni bilans.



Budynek mieszkalny budowany metodą uprzemysłowioną na Osiedlu Teofilów. Budynek oszczędnościowy, ale z pełnym wyposażeniem (łazienki, kuchnie obudowane typowymi meblami, szafy w ścianach, balkony) koszt 1820—1880 za metr sześcienny. Autor adaptacji LSM — mgr inż. arch. Stefania Stanisławska

"CZERWONA MAGIA"

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

NOWE ŚREDNIOWIECZE

Taniec Śmierci, jak pisał w „Jesieni Średniowiecza” Johan Huizinga, był ulubionym tematem artystów wieku XIII i XIV. Śmierć, wiodąca swych zmarłych, biskupów i magnatów, królów i biednych wyrobników, pojawia się wówczas na drzeworytach, w wierszach, na malowidłach ściennych „Efekt — pisał Huizinga — był podwójny. Poczeczano się równością wszystkich wobec śmierci i jednocześnie wzdrażano się przed końcem”. Ale drżące z lęku przed Śmiercią Średniowiecze było też czasem, który zrodził wielkie, przeniknięte myślą o nieśmiertelności struktury filozoficzne i artystyczne. A ludzie Średniowiecza, tańczący bezustanny dance macabre, byli tymi samymi ludźmi, którzy budowali katedry i dyskutowali uniwersalia. Warto o tym pamiętać, oglądając „Czerwoną magię”. Ludzie Średniowiecza, ujrzeni oczyma Michela de Ghelderode, są zarażeni Śmiercią: lekają się jej, czekają na nią, nadśledzają, czy nie słychać stukotu kopyt białego konia, na którym Śmierć zwykła wówczas po ludzi przyjeżdżać. Adorują Śmierć a jednocześnie pragną ją oszukać. Są przeto w swym lęku mali i nieczenni. Ghelderode był wielkim pisarzem, wielcy pisarze są zazwyczaj jednostronni. Średniowieczny model świata interesował tego Belga zapewne tylko o tyle, o ile w owym modelu mógł dostrzec elementy, występujące również w czasie teraźniejszym. Model czasu teraźniejszego był dla niego, jak wolno nam przypuszczać, modelem przerażającym: modelem, w którym rządziła Śmierć.

Oto i „Czerwona magia”: nad sceną unosi się mdły zapach rozkładu. Gdzieś w kącie usnęło znużone widmo. A Śmierć? Ta krąży wokół domu Hieronimusa, zagląda przez szpary, jest tuż obok, czujna i nadśledzająca. Przez trzy akty nie pojawił się na scenie. Nawet wówczas, gdy umiera żebrak Romulus i gdy umierają mnich, Śmierć nie wkracza jeszcze otwarcie. Jakby lekka się spotkania z Hieronimusem. Hieronimus marzy bowiem o nieśmiertelności. Pragnie walczyć ze Śmiercią. Nie jest byle skąpcom, małym ciułaczem, składającym groź do groza. Chce posiadać wszystko i chce być wszystkim. Posiąść wszystko, a więc posiadać i Czas, a więc zwyciężyć Zycie i Śmierć: dlatego właśnie (znakomity to pomysł reżyserów) przebiega się za Śmierć, dlatego staje na straży swych znikliwych dóbr z kosą w ręku. Śmierć włada wszystkim, tak myślało Średniowiecze, przeto Hieronimus chce być Śmiercią samą: z kosą w ręku, chce władać wszystkim. Ale nawet wówczas, gdy Hieronimus naśladuje Śmierć, prawdziwa Śmierć nie wkracza jeszcze na scenę. Hieronimus przeczuwa, że jest już blisko: „Na pomoc! — woła. — Oślibie roba-ki lażą po mnie”. Ale nadal marzy o nieśmiertelności. By wreszcie paść ofiarą owego marzenia. Bo nie uda mu się posiąść niczego. Na-

wet ulicznej dziewczki. Bo Śmierć wkracza wreszcie na scenę. Śmierć czyli Sprawiedliwość, sędzia o twarzy zmarłego (tak ujrzał go Tadeusz Minc, tak musiał widzieć go Ghelderode) a za nim zbrojni, podobni robakom, którym wydane będą nasze ciała (tak ujrzał ich Minc, czy tak widział ich Ghelderode?). Zaraz rozpocznie się taniec Śmierci; jak na średniowiecznych rycinach, jak w filmie Bergmana, będą krążyć nad naszymi głowami, trzymając się za ręce, prowadzeni przez upostaciowaną Śmierć, mnich i żebrak, Armador i Sybilla i Hieronimus, zmarły, a przecież wciąż wierzący w swoją nieśmiertelność. Tego ostatniego tanca nie ma w sztuce Ghelderodego i nie ma w spektaklu Minca. Ale cała sztuka jest zaproszeniem do tańca: za chwilę rozpocznie się dance macabre, autor ustawia postacie, każe im działać, każe im wierzyć, w życie, w nieśmiertelność, w pieniądze, w Boga jedyne, by tym okrutnie owe marzenia zniszczyć: Śmierć jest u Ghelderodego bogiem jedynym, tylko ona ma prawo do owych nieczennych dusz.

Ghelderode był bardzo odważnym pisarzem. Wykpił nasze marzenie o nieśmiertelności, wykpił je okrutnie i bezlitośnie. Znam wielu pisarzy, którzy kpił z człowieczych marzeń. Także z marzenia o nieśmiertelności. Kpiły z marzenia o nieśmiertelności czy z marzenia o Zbawicielu są zazwyczaj niesmaczne. Ale Ghelderode to nie Ionesco. Był to pisarz zbyt poważny, byśmy mogli go zlekceważyć. Ale i zbyt niesprawiedliwy, byśmy mogli bez słowa protestu zaakceptować to, co ma nam do powiedzenia. Tadeusz Minc jest bardzo odważnym reżyserem. Musiał pozostać wierny pisarzowi. I musiał, jak sądzę, zaprzeczyć sobie. Pamiętam bowiem „Brytanika” Racine’a, którego Minc, nie tak znów dawno, reżyserował. Był to spektakl obrócony przeciw Śmierci, spektakl o ludziach, którzy są wydani na łup Historii, a którzy, mimo wszystko, walczą tu i teraz z Historią. Choćby po to, by mógł się dopełnić nieuchronny Los. I by mógł się dopełnić Historia. Czymże bowiem jest Śmierć wobec Historii? Czymże jest Śmierć wobec Losu? Losu, który choć i tak się spełni, potrzebuje, by się mógł spełnić, nas, naszej akceptacji, naszego działania. Czymże jest Śmierć wobec działania w czasie? Racine jest przeciw Śmierci. Minc, reżyserując Racine’a, był przeciw Śmierci. Racine’a reżyserował debiutant. Ghelderodego reżyserował dojrzały artysta. „Czerwona magia” jest spektaklem znakomitym. Minc sprawdził swój warsztat, dowiódł, że i na terytoriach, które są mu obce, potrafi pozostać wierny autorowi. Ale sztuka żąda od nas wyboru: można być znakomitym realizatorem wielu różnych konwencji, można przywracać życiu wiele różnych stylów. Kochać naprawdę można tylko jedną konwencję, jeden styl, jedną epokę. Prawie wszyscy re-



Halina Machulska

Fot.: J. Neugebauer

WANDA KARCZEWSKA

ROZMOWA Z REŻYSEREM

Fasjonująca sztuka zmarłego przed rokiem belgijskiego pisarza — jak powiada autor — powinna nosić dla przeciwnego widza podtytuł „Krew jest ceną zła”. Ślad właśnie czerwona magia. W pierwotnym zamysłu nazywała się po prostu „Skąpiec”, jako, że podejmuje nieśmiertelny w teatrze motyw skąpego — roga-

„Magia” epatuje widza ludową, jarmarcznią, niemal cyrkową farsowością, tkwi bowiem korzeniami w zmysłowym rozpasaniu średniowiecznego teatru ludowego i w jego misteryjności zarazem.

Drażni widza, poszy, rozśmiesza i prowokuje wąskimi analitycznym, brutalnym erotyzmem, grubym dowcipem. I jest przy tym wszystkim — moralistą.

„Czerwona magia” jest chyba jednym z najciekawszych przedstawień ostatnich dwu lat w teatrach łódzkich. W związku z tym przekazujemy czytelnikom „Odgłosów” rozmowę z reżyserem sztuki, p. Tadeuszem Mincem.

JA — Może przypomniemy czytelnikom, jakie sztuki reżyserował Pan do tej pory?

MINC — Na Małej Sali Teatru Nowego najpierw „Za-

czarowaną gospodę” Smółskiego, potem na Dużej „Brytanika”, potem tamże „Cyrano de Bergerac” i wreszcie teraz „Czerwoną magię”.

JA — Czy przedkłada Pan jakie scenopisarsko nad inne i jeśli tak, w czym leży jego specyfika?

MINC — Nie uważam za słuszne, czy celowe, trzymanie się jakiegoś określonego gatunku literatury. Uważam, że na mnie działa odżywczo wielorakość — w ogóle to jest chyba najpiękniejsze w zawodzie aktorskim, reżyserskim — owa właśnie wielorakość spojrzenia na świat. To działa niesłychanie odświeżająco.

JA — Jednym słowem jest Pan za stałą zmiennością linii repertuarowej?

MINC — Tak. Oczywiście ja wiem, że niektórzy nazwaliby to eklektyzmem. Ale to nieprawda.

JA — Precyzując, reżyser wydobywa i formułuje wyznaczone przez siebie treści moralne i filozoficzne z każdej sztuki, którą bierze na warsztat?

MINC — Owszem, ja wybieram sztukę, ale w jakimś sensie jestem przez tę sztukę także wybrany.

JA — Co więc skłoniło Pana do wyboru „Czerwonej magii”?

MINC — (po pewnym namyśle i chyba z wyraźną niechęcią do precyzowania swojego „kreda”). To bardzo skomplikowany problem. Mnie się wydaje, że między sztuką a reżyserem istnieje jakiś trudny do sprecyzowania intymny stosunek, a cokolwiek by się powiedziało (śmiej się) o intymnym stosunku, to zawsze będzie jakaś nieprawda. Są pewne niedopowiedziane rzeczy, między tym, co się podobą, a co się świadomie wyraża. „Czerwona magia” podobą mi się jako dzieło literackie o niewątpliwych wartościach scenicznych, a przy tym — mimo, że pisane jest w dwudziestolecie międzywojennym — jako utwór niesłychanie współczesny i to nie tą współczesnością dziś już skonwencjonalizowaną i banalną, co — wie pani, trochę Dürrenmatta, trochę taszytowskiej scenografii i już niekiedy się wydaje, że są niesłychanie „nowoczesni”. Przy tym wszystkim Ghelderode w przeciwieństwie do takich nawet sztuk jak „No sorożec” Ionesco, czy „Fizycy” Dürrenmatta, które w gruncie rzeczy są rozplątanymi na trzy akty jednoaktówkami jest niesłychanie zagęszczony. Są tam pewne elementy niemieckiego ekspresjonizmu i nadrealizmu, ale to wszystko jest zarazem tak przesiąknięte, przeświecone ludowym humorem, teatrem ludowym w ogóle, flamandzką bujnością, zdrową ludową krzepą.

JA — Ta soczysta, jedyna sztuka jest chyba bardzo ciekawym materiałem dla reżysera?

MINC — To co mnie w tej sztuce najbardziej pociągało, to właśnie oryginalny klimat tej historii, konieczność znalezienia środków teatralnych dla oddania tego klimatu, doświadczenie do tego „jak się to zabija”. Z Ghelderodem jeszcze się nie spotkałem, nasi aktorzy również nie, to jest specyficzne piarstwo bez precedensów, bez poprzedników i kontynuatorów i jeżeli reżyserowi i aktorowi uda się w ten klimat — wtedy mogą stworzyć coś oryginalnego. Ghelderode daje pole do zupełnej oryginalności.

JA — Który z aktorów jest najbliższy koncepcji Pana owemu klimatowi właśnie?

MINC — Na to pytanie nie odpowiem.

JA — Przypuszczałam, ale ja skorzystałam ze swojego prawa reżerowania.

MINC — Pani wolno.

JA — I muszę powiedzieć, że przy świetnie zarysowanych postaciach Malawskiego (Hieronimusa), Machulskiej (Sybilla), Misiurewicz (Romulus), w pewnym sensie Złote (Mnich) — jakoś najmniej wloplony w klimat sztuki wydaje mi się Armador Machulskiego, który według Ghelderodego ma być „dwulicowy”, dwuznaczny, dumny bandzior. Ten Armador jest jakiś waltowy w wyrazie, niedokreślony w rysunku, jakiś nie bardzo pewny siebie, nieczym neurasteniczny, nieco mięczakowaty chłopiec ze współczesnej sztuki.

MINC — Za wszystko co

(Dokończenie obok)

Wśród studentów wyższych lat wydziału operatorskiego i reżyserskiego łódzkiej PWSTF przeprowadziliśmy małą ankietę dotyczącą artystycznych gustów i predylekcji przyszłych adeptów X muzy. Zdejmy sobie w pełni sprawę z przypadkowości niektórych odpowiedzi i z trudności w wyprowadzaniu z nich jednoznacznych i naprawdę słusznych wniosków. Niebezpieczeństwo pochopnych uogólnień towarzyszy zawsze tego typu ankietom. Chcieliśmy jednak zorientować się czym żyją (chodzi o rzecz jasną o strawę duchową) i co myślą o swej misji artystycznej młodzi ludzie, którzy za lat kilka decydować będą o obliczu naszej kinematografii. Chcieliśmy również poprosić ludzi o szczególnie ciekawych wyuczonych wrażliwości wychwycić najistotniejsze wydarzenia czy też zjawiska artystyczne ostatniego okresu. Pytania naszej ankiety brzmiały następująco:

1. W dorobku jakich artystów szuka Pan(i) inspiracji artystyczno-intelektualnej dla

swejej przyszłej twórczości i dlaczego?

- a) w dziedzinie filmu,
- b) „literatury,
- c) „plastyki,
- d) „teatru,
- e) „muzyki.

2. Jakże z ostatnich filmów, przedstawień, wystaw i książek uważa Pan(i) za szczególnie interesujące i dlaczego?

3. Który z zarysowywanych się obecnie kierunków w sztuce filmowej odpowiada Pan(i) najbardziej i dlaczego?

Na ankietę odpowiedziało 19 studentów, w tym 6 przyszłych reżyserów.

Najciekawsze są chyba odpowiedzi dotyczące problemów sztuki filmowej. Okazuje się, że studentów pasjonuje przede wszystkim film szukający prawdy o współczesnym człowieku, bądź to w postaci syntez filozoficzno-moralnej (Kurosawa, Antonioni, Bergman, Fellini, Bunuel) bądź analizy psychologiczno-socjologicznej (cinema-verite, angielska nowa fala) 13 uczestników ankiety uznało za swego mistrza Kurosawę.

„Eisenstein naszych czasów” — stud. IV roku wydz. oper.; „obrzynie treści przy znakomitej formie” — stud. III roku oper.). Nie chcą wyciągać pochopnych wniosków, ale wydaje im się, że wybór ten świadczy o dużej dojrzałości młodych ludzi, którzy nie dają się zwieść czułym poszukiwaniom formalnym i pozornie awangardowym treściom (słabe zainteresowanie francuską nową falą — po jedynym głosie na Godarda, Resnais i Truffaut). Drugie po Kurosawie miejsce zajmują Antonioni (6 głosów), przy czym niektórzy studenci wymieniają obu razem. Następnie — Bergman i Fellini (po 4 głosy), Bunuel — 3 i Czuchraj — 2. Z polskich twórców (na 28 nazwisk) wymieniono jedynie Wajdę (3 głosy), Karabasza (2 razy), Munka i Lenicę (po jednym głosie). Polscy realizatorzy występują jednak zawsze w towarzystwie innych, „zagranicznych”. A więc nie są prorokami we własnym kraju.

Spśród operatorów padły nazwiska Myo Agawy (operator Kurosawy — 3 głosy), operatorów Antonioniego (Scavarda, Di Venanzo), W. Laskally („Elektra” i „Smak miodu”) oraz operatorów polskiej kroniki i dokumentu. Rzecz znamienna, nie wspomniano o żadnym z rodzimych „wielkich mistrzów” od kamery. I znów, jak widać, studenci optują za sztuką operatorską, dojrzałą, nowoczesną, klarowną i funkcjonalną. Miejsy więc nadzieję, że za parę lat znikną z naszych filmów samolotne popisy formalne i anachroniczne „sztuczki” operatorskie. Ale to już przyszłość pokaże...

Wnioski płynące z odpowiedzi na pierwsze pytanie ankiety potwierdzają odpowiedzi na pytanie ostatnie. Pozwoliłmy sobie parę z nich przytoczyć: „Realizm reprezentowany przez angielską nową falę szczególnie w odniesieniu do pracy operatora” (III r. operat.).

„Czysty dokument oparty na podglądaniu ludzi przez kamerę i wylawianiu odpowiedzi w sytuacji. To jest prawda.” (IV r. oper.).

„Realizm. Jedyne kierunek w którym można wszystko zrozumieć powiedziałem. A o to mi chodzi” (II r. reżyser.).

„Ogólnie mówiąc bez szulardowania na kierunki: film artystyczny, psychologiczny, oraz moralno-społeczny. Człowiek a człowiek, jednostka, a społeczeństwo, człowiek, a problemy moralne, religijne, sercowe. Życie, a śmierć. To właśnie najwięcej mnie interesuje (IV rok reżyser.).

„Psychologiczny kierunek reprezentowany przez Antonioniego, znajdujący wiele aspektów egzystencji i psychiki nieuchwytnych bez pewnego specyficznego sposobu ich demaskowania” (III r. oper.). I tu spotykają się ponownie: dokument, cinema-verite, angielska nowa fala z Kurosawą, Antonionim i Fellinim. Te charakterystyczne tendencje właściwe dla współczesnego filmu streszcza znakomicie zestawienie na tej samej ankiecie i Antonioniego i filmów Karabasza (V r. operat.) lub też Kurosawy, Felliniego i polskiego dokumentu (IV rok operat.). Zatem jedyną niemal twórczą wartością w rodzimej kinematografii jest dla przyszłych filmowców — szkoła dokumentalna. Warto się nad tym zastanowić.

Wybór kierunku budzi zresztą opory i wątpliwości różnorodnej natury: „Nie. Nie istnieje w tej chwili skonkretyzowany kierunek filmu, np. cinema-verite jest tylko nazwą. Nowa fala to tylko ochota zarabiania pieniędzy” (V r. oper.).

„Każdy z twórców musi mieć kierunek własny. Pogodzić się z czymś, to znaczy zrezygnować z własnego „ja”, z własnych ambicji. Tolerancja tworzy grubość historii. Na zwalczanie kierunków w sztuce stać tylko egoistę lub potentata. Jestem zwolennikiem humanizmu w sztuce, szeroko pojętego” (III rok reż.).

Na zakończenie filmowej części ankiety pozwólmy sobie wymienić filmy, które w miarowym plebiscycie uznane zostały przez studentów za wydarzenia artystyczne szczególnie ważne w ostatnim okresie:

1. „Viridiana” (4 głosy)
2. „Przygoda”, i „Zaśmienie”

prostu jako wybór ulubionego twórcy lub kierunku). Padają nazwy niemal wszystkich najbardziej znanych kierunków i szkół. Tylko malarstwo powtarza się dwukrotnie. Modigliani (2 głosy) występuje obok Dali, Klee obok Renoira i Goyi, Valasquez obok Caldera (2 głosy), Makowski (2 głosy) obok Turnera, Breughela i Picassa (w sumie 35 nazwisk i kierunków). Wiek XX (ze szczególnym uwzględnieniem pierwszego półwiecza) reprezentuje 12 nazwisk, współczesną sztukę — Kobzdej, Slesinska i Fangor. Brak dydaktyki dla malarstwa nie figuratywnego (nie licząc wyjątki prawie już na szczeblu klasyki jak Mondrian). Brak zainteresowania rzeźbą (tylko Rodin i Slesinska).

W dziedzinie literatury największym powodzeniem cieszą się książki o granicach reportażu i eseju, mniej literackie, bardziej dokumentalne (w szerokim sensie tego słowa). A więc „URZĄD”, „SPIZOWA

BRAMA”, „HURAGAN NAD CUKREM”, książki Zaluskiego, 42 RÓWNOLEŻNIK wreszcie „ZAPISKI Z MARTWEGO MIASTA”, „LITOŚĆ BOGA” („najlepsza książka jaką kiedykolwiek czytałem” — student IV r. oper.) — 2 głosy i „IDZIE SKACZĄC PO GÓRACH” — 3 głosy. Warto odnotować pewną rezerwę w stosunku do tzw. „wielkich” Amerykanów (tylko jedna pozycja Hemingway’a — „ZA RZĘKĄ W CIEN DRZEW”). W sumie 17 tytułów — nie wszyscy podają. W tym 6 polskich i jedna książka czysto filmowa Bazina — „FILM A RZECZYWISTOŚĆ”. Na 23 mistrzów pióra przypada 7 Polaków m. in. Witkacy, Brandyś, Dygalski, Parnicki (literatura rodzima przoduje!). Przeważa Kafka i Andrzejewski (po 3 głosy), Jean Cau, Faulkner, Steinbeck, Frisch, Capote mają po 2 głosy. Z klasików wspomina się jedynie Diderota. Brak zainteresowań antypowieścią sensu stricto. Przeważa literatura nowoczesna.

ma, nie o wyrażym kierunku poszukiwań filozoficznych, psychologicznych, moralnych i społecznych. „Literature traktuje jako na pośrednio mającą wpływ na film. Każde dzieło sztuki ma wpływ na kształtowanie się wnętrza, intelektu twórcy” — stud. III r. reż.

Upodobania studentów w dziedzinie muzyki oscylują (zgodnie z nakazami epoki) między muzyką klasyczną a jazzem nowoczesnym. Dlatego też na pierwszym miejscu znalazł się Bach i Modern Jazz Quartet (po 4 głosy). Obok romantycznych wirtuozów i twórców jazzu (12 nazwisk) figurują Haendel, Mozart, Vivaldi, Ch. Parker, Brubeck uzyskali łącznie po 3 głosy. Muzykę romantyczną reprezentują Beethoven, Chopin, Grieg i Czajkowski. Tylko jeden student wymienił nazwisko kompozytora filmowego Nino Rota (nie licząc Kotłowskiego). Brak wybitnych postaci czy też brak znajomości? Nie wspomniano o żadnym ze współczesnych wirtuozów muzyki poważnej, ani o żadnym „wielkim” koncercie.

Zwiedzanie wystaw nie należy jak się zdaje do tego co tygrysy lubią najbardziej. A może po prostu nie ma u nas trapiących wystaw? W ankietach znalazło się miejsce dla 7 (m. in. Moore, Van Gogh, fińska architektura). Niektórzy studenci zdecydowanie podkreślają, że na wystawy nie chodzą. Reasumując materiał ankiety, można stwierdzić, że jedno nie ulega wątpliwości: studenci Szkoły posiadają jakiś własny, przemyślany i jak sądzi, nader dojrzały pogląd na film współczesny i jego rolę w dzisiejszym świecie. Ich upodobania w tej mierze nie są przypadkowe ani snobistyczne. Co więcej, są już właściwie skrytykowane. Nieco inaczej przedstawia się sprawa stosunku do innych sztuk. Można by na pozór mówić o pewnym dyktantyzmie lub eklektyzmie. Ale kto wie czy wnikliwsza analiza nie ujawni tu właśnie jakiejś konsekwentnej linii zainteresowania? Czy studenci „żyją” aktualnym życiem artystycznym i kulturalnym. A może dokonany przez nich wybór najciekawszych „wydarzeń”, podyktowany został nie tylko osobistymi pasjami? Może rzeczywiste film wyprzedza w dzisiejszych czasach literaturę, sztukę, teatr właśnie? Jeśli chodzi o rangę artystyczną i społeczną?

Ostateczne wnioski pozostawiamy naszym czytelnikom.

MARIA KORNATOWSKA

CO TYGRYSY LUBIĄ NAJBARDZIEJ...

robią aktorzy, ja jestem odpowiedzialny.

JA — To bardzo lojalnie ze strony Pana. A przechodząc do postaci Mnicha. Czy nie myślał pan o tym, aby skorzystać z zezwolenia autora, który powiedział: „Być może, że śmierdzący Mnich rani. Czyżby osobiste uczucia — nie wiem. Uważam, że moje sztuki mogą być zmieniane w teście, jak w przebiegu akcji w zależności od warunków społecznych i obyczajowych kraju, w którym są grane”.

MINC — Owszem, zastanawialiśmy się nad drażliwością tej postaci. Mnich mógłby np., jak ktoś zauważył, zrzucić pod koniec drugiego aktu sukienkę duchowną i zostawić pospolitym opryskiem, ale to byłoby sprzeczne z tekstem. Zresztą ta postać jest wzięta żywcem ze średniowiecznej farsy, wtedy jakoś nie kłóciła się z ówczesnym pojmowaniem spraw religijnych.

JA — No, antyklerykalizm nie jest równoznaczny z atakowaniem religii, to są dwie odrębne rzeczy i jeżeli chodzi o światopogląd Ghelderode’a...

MINC — Nie wiem, nie znam światopoglądu Ghelderode’a. Gdybyśmy jednak kazali Zintelowi zrzucić pod koniec II aktu sukienkę duchowną, scena spowiedzi i śmierci Mnicha w końcu III aktu byłaby pozbawiona sensu. Wprowadziłoby to do sztuki obcy, fałszywy element.

JA — Zatem uznaje Pan konieczność dochowania wierności tekstowi, wierności autorowi. A czy wobec tego nie wydaje się Panu, że ostatnia scena sztuki, moment wkroczenia SPRAWIEDLIWOŚCI na scenę, na skutek zmontowania i zafilmowania postaci Sędziego, wbrew temu co mówi o Sędziu autor („ma to być postać straszna, okrutna i groźna”) zmienia, względnie próbuje jakoś zmienić wymowę sztuki?

MINC — Myślałem, żeby tę scenę przepracować, żeby końcowe słowa „To nie wcale, że ja jestem nieśmiertelny” Hieronim wypowiedział właśnie nie pod toporem, który za chwilę, wbrew tym słowom, spadnie na jego kark...

JA — To by oznaczało, że topór, znak SPRAWIEDLIWOŚCI, kończy żywot Hieronimusa. Ale ostateczny wygłos sztuki jest inny, mówi, że Hieronimus, symbol zła, oświeci i żądy panowania nad światem — jest nieśmiertelny. Co tedy z ową wiernością tekstowi i autorowi?

Tasma magnetofonowa urywa się z sykiem, przerywając dialog. Myślę — jaka jest współzależność między tak zwaną „wiernością samemu sobie” a koniecznością reżysera skłócić dochowania wierności tekstowi i autorowi sztuki. Czy słusznie doszukujemy się owych „głębi myślowych” tam, gdzie ich nierzadko nie ma? Może to wcale nie filozofia urzeka reżysera w utworze dramatycznym? Czy to czego krytyk szuka i dopatruje się w dziele twórcy (pisarza, reżysera) jest zawsze czymś świadomym, czy może czasem tylko nieświadomym. A może tylko jest projekcją światopoglądu krytyka? Któż to rozstrzygnie?

(3 głosy)
3. „Pasażerka”, „Jules i Jim”, „Samotność długodystansowca”, „8 i pół” (po dwa głosy).

Z polskich filmów wymieniono jeszcze „Muzykantów” i „Labyrinth”. Przeważa zdecydowanie Kurosawa (3 filmy) i Antonioni (2).

A inne wydarzenia artystyczne?

Tu poglądy młodych filmowców zdradzają znacznie mniejszą jednogłośnieść i zdają się być bardziej przypadkowe. Najmniej zainteresowania budzi teatr. Na 17 tytułów filmów przypada tylko 10 przedstawień (w tym 2 telewizyjne). Żaden ze spektakli nie uzyskał więcej niż jeden głos. A oto parę przykładów:

„Kariera Artura Ui”, „Dożywcze” (Teatr Współczesny w Warszawie), „Historia o chwalebny zmarłych wstaniu”, „Kondukt”, „Elektra” (teatr grecki), „Faust” i „Siakuntala” (Teatr 13 rzędów). Kilku studentów pisze wprost że teatru nie uznaje, albo doń wcale nie chodzi. Odwieczna niechęć filmowców do teatru trwa widać dalej.

Wśród dramaturgów pierwsze miejsce uzyskał oczywiście Dürrenmatt — 6 głosów (może czy rzeczywiście zainteresowanie?), natomiast Brecht, Beckett, Sartre i Różewicz po 2 głosy (wiele mówiące zestawienie). Z tzw. „starych” wspomina się o Strindbergu i Szekspirze (ale tylko raz). Widocznie tezy Kotta nie znalazły jeszcze należytego oddźwięku. Najciekawszym człowiekiem teatru polskiego okazał się Grotowski (2 głosy). Hanuszkiewicz wspomniany tylko raz. Ale zdecydowanie, obok teatrów Współczesnego, Dramatycznego i „13 rzędów” teatr telewizyjny uchodził za czołowy w Polsce. Fakt godny uwagi.

Podobną co w sprawach teatru a może nawet jeszcze większą rozbieżność poglądów widać przy wyborze źródeł inspiracji plastycznej (co często można tłumaczyć sobie po



Fot.: Jacek Tworek



Fot. P. Krassowski

TADEUSZ PAPIER

KAROLEK, KOMETA i JA

„Moja” świetlica czy też „mój” klub (młodzieżowy) nazywa się „Karolek” (od dzielnicy Karolewa). Opiekują się nim Zakłady im. Dywizji Kościuszkowskiej. Jak wiadomo zakłady te łączą się z zakładami im. Harnama, więc klub zyska wkrótce bogatszego mecenasa. Klub mieści się na I piętrze starej kamieniczki przy zbiegu ulic Łąkowej i Kopernika. Pod klubem, na parterze znajduje się „Kometa”. „Kometa” jest to popularne (czy tańsze to nie wiem) wydanie „Savoyów, Grandek i Halek. Ja te instytucje nazywam po staroświecku i po wiejsku karczmami. Rzecz jasna, że w „Komecie” można dobrze wypić i dobrze zjeść. Można się również dobrze zabić. Oczywiście, w zależności od stanu gotówki i doboru odpowiedniego towarzysza(szczi). Można także w pewnych niesprzyjających warunkach oberwać guza. Nie wiem czy osobnik, który jednego ciemnego wieczoru chwiał się mocno na nogach, wyszedł niedawno z „Komety” czy też „zaprawił” się gdzieś indziej. Szedłem do klubu i w nie oświetlonym, czarnym przesmyku ulicy Mickiewicza pomiędzy kościołem a parterem znalazłem się nagle pomiędzy dwoma typami. Jeden stał na ścieżce w parku, a drugi, ten z zachowaną równowagą, sadził od kościoła wprost na mnie. Odgądlę strategię

tej zasadzki. Chodziło o to, abym zajął się pijakiem, a zapomniał o istnieniu jego przyjaciela. Na szczęście z tej przykłej sytuacji wybrała mnie nadjeżdżająca taksówka. Wszedłem prosto w krąg jej zbawczego światła i nie dbając o przepisy przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Ale ja nie napadam na dobre czy mniej dobre imię „Komety”. No bo w końcu do czego by doprowadziła taka krytyka? Do zlikwidowania tych instytucji? Broń Boże! Chcę tylko podkreślić, że „Karolek” mieści się nad „Kometą”. I że z tego sąsiedztwa mogą wynikać różne następstwa. Dobre i złe, jeżeli złe, to przede wszystkim dla „Karolka”. Często tak się dzieje, że kiedy na górze odbywa się prelekcja, tam na dole kwitną inne gry „towarzyskie”. Nie chcę też walczyć o przeniesienie „Karolka” w inne miejsce. Lokal, który zajmuje „Karolek” jest przestronny, pozwala na urządzanie wielu imprez, a sąsiedztwo „Komety” wydaje się być nie tyle prowokujące, ile podkreślające funkcję „Karolka” w tej dzielnicy. Weźcie tylko plan Łodzi do ręki i odszukajcie miejsce mojego klubu. Klub (a wraz z nim „Kometa”) znajduje się w środku dużego koła, na którego obrzeżach znajdziecie: na rogu Struga i Gdańskiej klub „Fafik” (prowadzony przez

Przemysłu Włókienniczego), klub „Trzeźwość” na Obr. Stalingradu, kino Dworcowe (na stacji Łódź Kaliska), kino Polesie i z drugiej strony Gdynia i Wisła. Nie za wiele tych placówek! A w środku koła kawiarnie i lokale pokrewne „Komecie”: Milusia, Balaton, Kolejowa i Leśniczanka. Dla nas, łodzian, nazwy te nie są pu-

nych tradycjach. Kilka miesięcy temu zaproponowałem kierownikowi (p. K. Goszczce), aby pisał melodunki ze swojej pracy. Klub prowadzi kilka sekcji m. in.: kulturalno-sportową, taneczną, estradową. Zapiszki kierownika dałyby wiele autentycznego materiału o ludziach i ich klubie. Kierownik zgodził się na to,

że się je porusza. „Draka” tkwiła poza tematem, w samym założeniu spotkania. W myślnym ocenie młodych ludzi, którzy zebrali się w „Karolku”, aby spędzić w nim jeden z „wolnych” wieczorów. Przyszedłem z gotowym schematem pracy klubu. Zbyt silnie podziało na mnie sąsiedztwo

„Komety”. Zawróciłem sobie głowę chłopcem (z o-kresu „bokserskiego”), który przychodził kiedyś do „Karolka”, przychodził daremnie, nie znalazł tu nic dla siebie i zakończył tak jak bohater niedobrego romansu: powiesił się na bramie stadionu LKS. Zdarza się. Jak ów Iliu Luniewa powieści „Koleje życia”, który szukając odpowiedzi na pytanie „jak żyć”, i nie znajdując jej, rozbija sobie głowę o mury miasta do którego przyszedł. Ale to nie dowodzi, że ci, do których mówiłem, byli ulepiani z tej samej gliny co Iliu i jego epigoni. Nie mówię do ludzi podobnych do siebie „jak miedziane pięciokopiejki bite w jednym roku”. Nie znalazłem klubu, który otwiera pierwsze drzwi. Nieporozumienie polegało na tym, że urzekła mnie atmosfera klubu ze starą wizytówką: jeśli jest kawa, chór amatorski i sprzęt muzyczny, jest już i klub.

Wchodząc do klubu założyłem stare okulary, a nie dostrzegłem tylko jednej zasadniczej rzeczy — że klub żyje w środku wielkiego miasta. I że na młodzież oddziałuje to miasto. Że ta młodzież chodzi do szkół, do fabryk, pracuje, że się rozwija; że w tym mieście są teatry, kina, uczelnie, wielkie zakłady pracy; że do tego klubu przychodzi młodzież przeważnie w wieku od 17 do 22 lat, a więc z tych roczników, które nazywamy pięknie okresem „kwitnącej psychiki”. Młodzież ta ma różne marzenia, o zawodzie, o pracy, o podróży, i różne zainteresowania. A także różne formy zaspokajania tych zainteresowań. Powiedziała Urszula: chcę się czegoś nauczyć. Powiedziała Gracyna: chcę się spotkać z poetą. Powiedziała pewien pracownik fabryki: chciałbym się spotkać z psychologiem. Wyraziła życzenie grupa dziewcząt i chłopów: chcemy śpiewu i muzyki. Nie chodzi im wcale o to, by klub dawał wyłącznie rozrywkę, lecz aby można się było w nim czegoś nauczyć. Rzecz polega na tym, że młodzież (ta młodzież, która pracuje i uczy się) szybciej się rozwija niż formy pracy kulturalno - oświatowej. Młodzież przychodzi do klubów, które jej ofiarowują stare i często nieatrakcyjne już dziś formy spędzenia wolnego czasu. Te same formy, które być może, były świetne w okresie „bokserskim”, dziś wymagają odpowiedniej korekty. Rozumie to kierownik, który ma trudności z pisaniem „Dziennika kapitana okrętu”. Zrozumiałem ten rozdźwięk i ja, kiedy (wbrew wszelkim pięknym pozorom) poniosłem pierwszą porażkę w klubie. Zbyt mocno przejąłem się rolą „Komety”, i osobnikiem, który chciał mnie napaść w zaułku ciemnej ulicy.



Fot. S. Terlecki

stym symbolami. Ile ulic i domów mieści się w tej części miasta? Ile tysięcy ludzi tu zamieszkuje? Sto tysięcy, dwieście? Ile młodzieży? Jaka jest ta młodzież i jakie ma rozrywki? Jakiej zajęcia?

Do klubu „Karolek” chodzę od roku. Nie znaczy to, bym przez ten rok poznał wszystkie sprawy klubu, ludzi, którzy w nim pracują i młodzież, która tu przychodzi. Są to sprawy wymagające dłuższej obserwacji. I nie tylko obserwacji, ale współżycia. A ja znajduję się dopiero na początku tej drogi. Klub miał swoje różne okresy. Najpierw był okres „bokserski”, który charakteryzował się tym, że najsukcesowniejszym językiem porozumienia pomiędzy chłopcem i dziewczyną był język „silnej reki”. W przypadku różnicy zdań brało się dziewczynę za włosy, uderzało głową o kolano i „koniec pieśni”. Porozumienie następowało błyskawicznie. Nie trzeba sądzić, że ten okres sprzed siedmiu czy ośmiu laty pozabawiony był bohaterów i to zarówno pozytywnych jak i negatywnych. Pozytywną postacią był na przykład pewien bokser, były marynarz, który likwidował w zarodku wszelkie awantury. Ten bokser mieszkał w pobliżu i był stałym gościem klubu. Ta „bezkompromisowa” postawa wyjednała mu duży szacunek u kolegów. Trzeba przyznać, że metoda bokserska, aczkolwiek doraźnie skuteczna, nie zawsze się opłacała. W każdym razie wymagała stałej obecności boksera. Z tego okresu kronika klubu notuje wiele innych mniej ciekawych sylwetek. Były dziewczęta, dla których dewizą było „frajer życie”, byli chłopcy, skądinąd sympatyczni młodzi ludzie, którzy jednak nie potrafili znaleźć sobie miejsca w tym świecie. Był też w dziejach klubu okres „matrymonialny”. W klubie zawierano znajomości, zawiązywały się sympatie, kończące się zwykle w Urzędzie Stanu Cywilnego.

No więc od roku chodzę do klubu o tak interesujących symbolach. Ile ulic i domów mieści się w tej części miasta? Ile tysięcy ludzi tu zamieszkuje? Sto tysięcy, dwieście? Ile młodzieży? Jaka jest ta młodzież i jakie ma rozrywki? Jakiej zajęcia?

No więc od roku chodzę do klubu o tak interesujących

dał nawet tytuł przyszłemu zapiskom „Dziennik kapitana okrętu”. Nazwa chyba szczęśliwa, spójrzcie jeszcze raz na plan Łodzi i miejsce, gdzie jest usytuowany „Karolek”. Dokądże ten okręt płyne i czy żagle ma należycie rozwinięte? Do dziś jednak głucho o „Dzienniku kapitana”. Czy dlatego, że czasu brak? Bardzo wątpię. Przypuszczam, że autor przyszłego „Dziennika” napotkał na trudności, z którymi nie mógł sobie poradzić. Nie widzę w tym nic ujemnego, praca w klubie jest zbyt skomplikowana, aby można ją zbyc kilkoma pobieżnymi kreskami. A może sprawa gorzej się przedstawia, niż ją tutaj rysuję? Może między naszymi schematami organizacji życia klubowego, a samym życiem istnieje rozbieżność, z której nie zdajemy sobie sprawy? Może schematy są przestarzałe?

Kierownik klubu ogłosił przy pierwszej wizycie: mamy zaszczyt gościć... itd. Ostrzegł mnie przy tym, że nie wszystkie spotkania cieszą się zrozumieniem słuchaczy. Może zdarzyć się „draka”. Komu kierownik nie dowierzał? Mnie czy młodzieży? Czy też swojemu rozeznananiu? Przypuszczam, że to raczej ja byłam na indeksie. I „draka” była. Nie chodzi o to, że miałem tremę. Tremę można pokonać doświadczeniem. I nie o to, że bałem się ewentualnego niepowodzenia. Występ się nie uda? Przemówienie się nie uda? Nie chodzi — przecież o efekty zewnętrzne. I nie o temat rozmowy, chociaż sam się niejako napraszał. Wystarczyło na chwilę uciszyć salę, aby z dołu, z „Komety” dotarły głuche odgłosy zabawy. Albo odczytać z „Expressu” kronikę MO. Albo omówić ostatecznie książki z literatury tak zwanego marginesu. Lub przytoczyć opinie niektórych krytyków, którzy na podstawie jednego przekładu wydają nieprzychylną i uogólniającą sądy o młodzieży. Że młodzież, która z błota wyszła, do błota powróci. Te wszystkie sprawy interesują mło-



Val Munteanu — ilustracja

Polak, kiedy znajdzie się poza granicami kraju, zawsze jest w jakiejś mierze prowincjuszem, zawsze znajduje to, czego akurat w naszym kraju nie ma, więc cmoła wtedy, chwali, żałuje, że oni mogą to mieć, a my nie.

Siedzę naprzeciw autentycznego barona i nie mogę się nadziwić. U nas darmo by szukać autentycznego barona, który mógłby być dyrektorem bardzo reprezentacyjnej szkoły winiarskiej, do tego pisać jeszcze interesujące wiersze. Takiej szkoły także darmo szukać. Baron żali się.

— Wino przeszkadza poezji, poezja przeszkadza pić.

Chciałbym ja mieć tylko takie kłopoty w życiu. Jesteśmy w tak zwanej winotece, czyli w bibliotece, gdzie książki zastępują rozmaite gatunki i roczniki win. Szkoła i winnica leżą w miejscowości Ciumbud, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Klużu, drugiego co do wielkości miasta Rumunii. Nie zdołamy przeczytać biblioteki, to jasne, można najwyżej coś niecoś spróbować. Przede wszystkim jednak chcemy poznać się wzajemnie i dyskutować o literaturze. A to z powodu, o którym nie zdążyłem jeszcze napisać, ponieważ stale mi przeszkadza uczestnicy spotkania w Ciumbud.

— Czystość wina jest jego kartą wizytową — mówi towarzysz baron.

— Petőfi powiedział, że gdyby w Dunaju płynęło wino, nie byłoby Dunaju — powiada kierowca samochodu. Nazywa się Burzyński, ale jest Rumunem tyle, że jego babcią była Węgierka, a dziadek Polakiem. Redaktor tygodnika literackiego z Klużu Dumitru Mircea trzyma nóż w zębach i śpiewa dźwięk pieśni górali transylwańskich, skierowaną przeciw żandarmom jego cesarskiej mości Franciszka Józefa. Ta pieśń to jego towar eksportowy, ale nie bardzo się udaje. Nóż jest naszej produkcji, gnie się w zębach i tak to, dzięki naszym brakorobom nie wysłuchaliśmy do końca pieśni.

— Prawdziwy miłośnik dobrego wina da się przyrównać do psa myśliwskiego — mówi poeta Aureliusz Rau — nim osiągnie zdobycz cieszy najpierw oczy, potem nos, a na końcu język. Ale język jest większym przyjacielem człowieka niż psa, dlatego wino piją ludzie, a nie psy.

— A znowu Sadoveanu,

tuacji pisarza w tym kraju. Poznać literaturę, daleką nam przecież, nie jest łatwo, książek nie daje się opowiedzieć chociaż łatwo się opowiada w winnicy. Co innego, jeśli chodzi o sytuację pisarza rumuńskiego. Już w czasie naszej podróży po Transylwanii, gdzie działają dwa ośrodki literackie, w Klużu i Turgu Mures, zorientowaliśmy się, że naszym kolegom po piórze dobrze się dzieje. Jest to, oczywiście kwestia stawek, przeciętnie dwa razy wyższych niż nasze, a także kwestia możliwości druku. Ani jeden z naszych rumuńskich kolegów nie narzekał na brak możliwości druku, po prostu dlatego, że pism literackich dużo.

W Turgu Mures towarzyszy nam elegancki i uprzejmy, młody krytyk Galfalvi Zsolt. Nie usiłując wymówić poprawnie jego imienia i nazwiska, nie da rady. W każdym razie Turgu Mures, blisko stutysięczne miasto ta stolica autonomicznego okręgu węgierskiego posiada stały teatr, swoje pismo literackie, szereg instytucji kulturalnych. Oglądamy wszystko po kolei, a więc Akademię Medycyną, Wyższą Szkołę Pedagogiczną, wreszcie Instytut Teatralny. Jesteśmy o tyle przynajmniej ciekawi, że mamy tu do czynienia z interesującym i udanym eksperymentem dobrego

śłem, stoi na wzgórzu. W pierwszym momencie chciałem spytać, co na to urząd kwaterekowy, dałem jednak temu pokój. W końcu to nie jest źle, kiedy pisarz traktowany jest na równi z wybitnym specjalistą, jest nim przecież.

Następnego dnia zwiedzaliśmy w dalszym ciągu miasto. Wzdłuż długiego rynku ciągną się urocze, barokowe kamieniczki, wymieszane z nowoczesnymi, przepiękne kolorowymi kościołkami. Na rogu reprezentacyjny dom kultury, wykończony w 1910 roku. Ciepki, secesyjny, wystrojony w wielobarwne witraże w stylu Mehoffera. Przychodzi mi na myśl, że nie zawsze jesteśmy sprawiedliwi dla secesji. Przecież to jest już martwy styl, już zabytek, historia, z którą się nie polemizuje, lecz tylko objaśnia jej szczególne właściwości.

Jest i coś specjalnie dla Polaków — dom pod starą zamkiem, dawna kwatery generała Bema i jego adiutanta Petőfiego. Dom jest opuszczony, żadna tablica nie przypomina naszego generała, zresztą, szczerze mówiąc, nie robi to na nas większego wrażenia, jesteśmy przyzwyczajeni do tych znaków porozumiewawczych — Bem i Batorty.

Wzruszyło nas co innego. Zwiedzaliśmy dość niezwykłą bibliotekę publiczną z

nośi starożytne imiona — Aurel, Marco, Demostene, Tertulian... Szofer, który obwoził nas po Klużu, dwójga imion Marek Aurel, pokazywał nam dawną rzymską dzielnicę miasta. Zauważyliśmy tylko nowe, cudownie lekkie domy, niestety, niestety, piękniejsze niż nasze i staranniej wykończone, śladów po Rzymie nie było. Marek Aurel twierdził, że dobrze skoro śladów nie ma, bo tu, za rzeką, założyli kolonizatorzy gniazdo rozpusty. Rzymskie domy zniknęły, ale zła tradycja pozostała. Za Turków też tu mieszkali wesołe dziewczęta, za ostatniego króla rumuńskiego też, dopiero teraz nie mieszkają. Oczywiście nie biorę odpowiedzialności za historię części miasta, przedstawioną przez szofera.

Zauważyliśmy natomiast co innego, Rumuni drobniawo szperają w historii dopiero teraz. Tak jest, dopiero teraz w ludowej Rumunii widać naturalną potrzebę absolutnego scementowania całego narodu. Tej jednostki nie potrafiła stworzyć rumuńska burżuazja. My natomiast widzieliśmy tę dumę. Podczas operetki, którą oglądaliśmy w Braszowie, publiczność waliła tegle brawa za akcenty polityczno-narodowe, które padały ze sceny. Operetka poświęcona sylwetce kompozytora

jąc Rumunów za przykład, nie proponuje bynajmniej wyrzucania naszego świata do góry nogami. Po prostu każdy pisarz oddaje Związkowi 10 proc. honorarium z każdej książki i jeszcze 2 proc. od swoich praw autorskich. Budżety wydawców są autonomiczne, to znaczy tylko część dochodów zabiera państwo, reszta pozostaje w wydawnictwach, a że na czele rady wydawców stoją właśnie pisarze, więc nie ma kłopotu z pomocą dla kolegów, nie trzeba zabiegać o stypendia, specjalne emerytury itp. Kierownicy wydziałów kultury nie muszą sobie włosów z głowy wyrwać na myśl, że trzeba skądś wydusić pieniądze na urządzanie miesiąca książki, poezji, rocznicy Caragiale, czy Eminescu. Związek dysponuje po prostu poważnymi środkami, które starczą na wszystko. Opowiadał nam to prezes Związku Pisarzy Rumuńskich, tow. Mihail Beniuc. Patrzyliśmy na niego z szacunkiem. Świetny pisarz, ale mężczyzna drobny, chyba niższy od p. Przybosa, gdzie mu np. do takiego Putramenta, ale jaka potęga! Czy z tej potęgi wynika automatycznie wysoki poziom literatury?

Studentki bukareszteńskiej polonistyki przylgają się nam z ciekawością. Ryszard Matuszewski działa, jak wiadomo, najświeżej na młodzież uczącą się, jest przecież autorem znanych również w Bukareszcie podręczników i szkiców literackich, a znowu p. Gogolewski, lektor, rodom z Łodzi i naszego Uniwersytetu był uprzejmy napomknąć wcześniej coś nieo czymś o moim temacie.

Polonistyka bukareszteńska jest stara, sięga roku 1891, istniała więc, kiedy Polski nie było. Co robi katedra, profesor, pracownicy naukowcy i studentki? Zajmują się tłumaczeniami naszych klasyków — ostatnio wyszedł już tom naszej noweli klasycznej, niebawem ukaże się nasza nowela współczesna i... Sienkiewicz w obszernej wyborze. Myślą też nad udoskonaleniem przekładu „Chłopów”, przekład jest już trochę przestarzały, pochodzi z 1941 roku. Opracowali go TT Jeża w Rumunii, napisali o pracach krytycznych Boya, zajmują się Słowackim, chcą też opracować dla potrzeb rumuńskiego czytelnika zwięzłą historię naszej literatury. Ambitni, zakonani w naszej kulturze, świetnie władają polskim.

— Dobrze, a z czego żyjecie? — pytamy.

— Smieją się.

— Na wszelki wypadek kończymy rumenistykę, żyje się z pracy w szkole.

W pierwszej chwili doznawałem uczucia dumy. Znamy nas, czytają, studiują, piszą rozprawy o nas, przekładają z roku na rok coraz więcej. Dopiero co wydali Brandysa, wychodzi Putrament, Neverly, ukazał się Morcinek. A potem przychodzi refleksja — no, a my? To pytanie porządkowe, nie jeden raz, nawet i w drodze powrotnej do kraju, gdzie padał śnieg, a mróz malował kwiaty na śniegu. Na południowych stokach Karpat, w Transylwanii kwitły jeszcze na początku grudnia róże.



WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ŚNIEG I RÓŻE

NOTATKI Z RUMUNII

nasz znakomity prozaik twierdził, że pierwszy dzban oznacza dopiero poznanie wina, drugi dzban — bliższe poznanie. Przy drugim zamykamy prawe oko, przy trzecim również i lewe, dopiero wtedy wszystkie dobrze widzimy, ale smutno. Z goręczy wyciąga nas czwarty dzban i od tego momentu można już spokojnie pić. Człowiek osiąga idealny stan dopiero wtedy, kiedy zaczyna bać się panieńcze wody, a nie boi się wina.

Slucham tych anegdot, wokół stołu sami pisarze, dwóch kierowców samochodowych, oraz jeden baron, który powiada właśnie: — Jedyny znawca wina z prawdziwego zdarzenia, jakiego poznałem pochodzi z kraju, gdzie nie ma wina. Niejaki Fukier z Warszawy, może towarzysze słyszeli. Wypił u nas 27 próbek i bez pudła określił wiek każdego rodzaju wina.

Nad stołem krzyżują się rozmaite języki — francuski, niemiecki, węgierski i rumuński. A my, no, wreszcie mogę spokojnie powiedzieć skąd się wzięłam na początku grudnia w winnicy pod Klużem, więc my stanowimy bodaj pierwszą, oficjalną delegację Związku Literatów Polskich, która odwiedza Rumunię. Jest nas dwóch — Ryszard Matuszewski i ja. Z nami wozą nasz tłumacz — prof. Teodor Holban, Rumun, zamieszkały w Polsce. U nas uzyskał dyplom akademicki, jeszcze przed wojną.

O Fukierze miło słyszeć. Zawsze i wszędzie nas zna, jak nie z tej to z innej strony, ale myśmy radzi jak najwięcej wiedzieć o literaturze rumuńskiej i sy-

współzycia ludności węgierskiego pochodzenia, (która w tym okręgu stanowi większość) z Rumunami i Niemcami. Skąd się wzięli Niemcy w sercu Transylwanii? Długa historia, której zresztą nie znam dokładnie, więc nie będę opowiadał, w każdym razie zaczęło się trochę podobnie jak u nas — pewien książę sprowadził sobie Krzyżaków, Krzyżacy rzemieślników, rzemieślnicy zbudowali miasta i dalej już samo szło.

Interesująca jest w każdym razie ta symbioza, to twórcze współzycie. Węgry mają w tym rejonie 6 swoich teatrów, swoje szkoły, pisma, w tym trzy literackie, wychodzi także pismo literackie w języku niemieckim. Sytuacja pisarzy? Jest ich w Turgu Mures szesnastu, wszyscy piszą w języku węgierskim, z wyjątkiem Herty Ligeti, która pisze po niemiecku. Czy mogą żyć z samego pisanja? Oczywiście, mogą, ale potrzeby redakcji, instytucji kulturalnych i innych instytucji są tak wielkie, że pisarze, nolens volens, muszą pracować, tego wymagają społeczne potrzeby.

Wieczorem gości nas w swoim willi młody prozaik Sütő András. Właśnie wyszła jego książka „Jesienne czerwień”, w nakładzie 31 tysięcy. Kiedy wyglądam z okna, zdaje mi się, że odwrócił się nagle porządek świata i oto mam niebo pod nogami. Ale to złudzenie, to nie gwiazdy u stóp, ale światła Turgu Mures. Willa pisarza, gdzie przychodzi z „codziennego” domu, aby pracować nad tek-

połowy XVIII wieku, jedną z pierwszych w Siedmiogrodzie (inna nazwa Transylwanii). Założył ją hrabia Teleki. 40 tysięcy tomów, zawiera wszystko co do początków XX wieku stworzyła i zapisała myśl ludzka. Cała wiedza literacka, z dziedziny fizyki, chemii, filozofii, bezcenne pierwodruki Newtona, Galileusza, Keplera, Paracelsusa, cudowne druki, niezwykła grafika Piraneziego, jednego z prekursorów sztuki nowoczesnej, urzeczono go pierwszymi maszynami, wielki, kolorowy atlas, wydany w latach 1657 — 1682, wszystkiego możesz dotykać, oglądać, czytać. Lecz nas wzrusza najbardziej Dyplom Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauki z roku 1811! Otrzymał go Teleki, a podpisał Staszic i Ludwik Osiński. I jeszcze jedno — pierwodruk relacji urzędowych Stefana Batorego z roku 1850. My mamy tylko fotokopie.

Wynika z tego niezłobnie, że z Rumunią nie jesteśmy związani jedynie tragiczną szosą zaleszczycką, rzadko kto wspomina tu o niej, Rumuni sięgają chętniej do dalszej przeszłości, wspólnych wojen z Turcją. A jak się tak wstecz rozpędzą zostawiają nas i mówią o swoich praszczurach — Rzymianach. Istotnie w kraju jest wiele muzeów z pozostałościami po dawnych Rzymianach, którzy próbowali utrzymać tu swoją kolonię, w końcu jednak era rzymskiego kolonializmu skończyła się, władcy wymieszali krew z gospodarzami tej ziemi. Może dlatego tak wielu Rumunów z pewną dumą

Porumbescu (podobno Polak, Gołębiowski, porumbescu znaczy właśnie — gołąb) lekka, banalna, choć nie pozbawiona ładnych melodii, mówi właśnie o potrzebie jednoci pomiędzy Rumunami, Węgrami i Niemcami, działa właśnie na ową jedność. Nie bez kozery grano ją w Braszowie, mieście wyjątkowo pięknym i trójjęzycznym. Zaczepisz przechodnia, myślisz, że odpowie po rumuńsku, a on akurat po węgiersku, albo i niemiecku.

Jesteśmy teraz pośród bukareszteńskich polonistów. Mamy za sobą wiele spotkań z pisarzami i redaktorami stołecznymi. Nie powiem, żeby na skutek tych spotkań wzrosła moja wiedza o literaturze rumuńskiej. Przynajmniej nie na tyle, by można wypowiadać sądy na ten temat. Owszem, wiemy dużo: w Rumunii wychodzi 11 pism literackich, więcej niż w Polsce, prawda? Szczególną uwagę zwraca kwartalnik — „Wiek XX”, redagowany przez Marcela Breslusa. Pismo o formacie książki, do 200 stron, znika w kilka godzin po ukazaniu się, a to dlatego, że drukuje tylko przekłady ze wszystkich literatur świata, tylko współczesne przekłady. Do tego niewielkie komentarze.

Wiemy też, że w Rumunii istnieje potężny rozmiar funduszu literackiego, który czyni ze związku prawdziwą potęgę, jeżeli zważyć, że związek, a nie kto inny wydaje pisma literackie. Skąd ów fundusz? Niechże się nasz resort kultury nie martwi, poda-

ANGLICY w ORANIE

Francuz i Anglik! Wymawiamy te słowa jednym tchem. Przywykliśmy do tego. Ma to brzmieć niby: Polak — Wegier — Bzdura, nie bardziej fałszywego, Francję odgradza od Anglii nie tylko przepaść kanału La Manche. Dziela ją od Anglii animozje sięgające wczesnego Średniowiecza. Dziela też wydarzenia lat ostatnich.

Oran. Na dźwięk tego słowa szanujący się Francuz nastawia uszy i dostaje wypieków na twarzy.

W Oranie rozegrały się wydarzenia, których się nie zapomina.

Do wypadków w Oranie wrócił w numerze z 11.XII. br. zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel”. Rzecz interesująca. W tym samym numerze tygodnik uznał za wskazane zamieścić feleton pt. „EWG” (Wspólny Rynek). Co to jednak znaczy dziennikarski refleks i zdolność kojarzenia. Przecież rozpoczęła się decydująca runda rozmów o przyszłości Wspólnego Rynku.

„Der Spiegel” tak pisze o wypadkach w Oranie:

„Admirał tylko przez moment zatrzymał wzrok na niebieskiej kopercie z napisem „Most — Secret” i zaraz ją rozewał. Wiceadmirał Sir James Somerville, który przyniósł pismo, śledził w milczeniu każdy ruch admirała. Był to dzień 30 czerwca 1940 roku. List był skierowany do Sir Dudley North'a w Gibraltarze, głównodowodzącego siłami morskimi na Północnym Atlantyku. Informował o wyszłej w powietrzu akcji, o której premier brytyjski Winston Churchill napisał później, że była „jednym z najbardziej przykrych zadań królewskiej floty.”

Sir Dudley North zrozumiał z listu, że Brytyjska Admiralacja zamierza raz na zawsze wyeliminować z gry oceaniczną flotę francuską, swego dawnego sprzymierzeńca. Chodziło o to, by flota nie dostała się w ręce niemieckie. Z listu wynikało, że jeśli okręty francuskie w Oranie i Aleksandrii, nie wyraża zgody na wypłynięcie do baz brytyjskich, lub na dokonanie „samozatopienia”, wówczas te okręty zostaną zniszczone przez marynarkę angielską. W tym przypadku, wiceadmi-

rał Somerville, na mocy instrukcji wydanej przez Admiralicję, miał udać się do Oranu na czele wydzielonej eskadry „H” i zatopić wszystkie znajdujące się w tym porcie okręty francuskie.

Cale przedsięwzięcie nosiło kryptonim „Katapulta”.

Admirał North chwycił cztery ołówki i napisał na ukos koperty — „Nie „Katapult” lecz „Bumerang”! Spojrzył na siedzącego obok Somerville'a — James, teraz już wiesz, co myślę o tym wszystkim... — Obaj admirałowie zaprzęgnięci od dawna, nie szczędzili słów oburzenia na operację, która nie była zgodna z ich poczuciem honoru. Ta robota wydawała się Somerville'owi „zawszo-

na”. Mimo tych zastrzeżeń i oporów, obaj przyjaciele wzięli jeszcze tego samego dnia na pokład pancernika „Hood” wszystkich kapitanów i oficerów z wydzieleną eskadry „H”. Zebranych wtajemniczono w tajniki przedsięwzięcia. „Twarze admirałów i kapitanów mówiły więcej, niż grube tomy” — zanotował North. „Wiedomość, że mają strzelać do sprzymierzeńców (z którymi jeszcze dwa tygodnie temu walczyli ramię w ramię) była tak sprzeczna z ich wyobrażeniem o honorze, że wielu protestując, pytało zarazem, czy tego szaleństwa nie można w jakiś sposób powstrzymać”.

North oraz inni admirałowie floty śródziemnomorskiej dali sobie słowo, że uczynią wszystko, by nie dopuścić do masakry. Wiedzieli, że to ma sakra. Wysyłali więc apele, ostrzegali, prosili, błagali. Nic z tego. Admiralacja żądała wykonania poleceń. Dzieje tego „spisku” angielskich admirałów były przez długi czas trzymane w tajemnicy. Żaden dokument nie ujawnił admirałskich skrupułów. Admiralacja nie wyrażała zgody na udostępnienie komukolwiek akt, związanych z operacją „Katapult”. Kapitan Roskill, kronikarz marynarki podczas II wojny światowej, mógł jedynie napomknąć, że admirałowie obserwowali atak na Oran z uczuciem, które „graniczyło z przerażeniem”.

Dopiero dziś Heckstall-Smith, kapitan rezerwy, ongiś dowódca fregaty, ogłosił dzieło, które po raz pierwszy

daje obraz wyrzutów sumienia, jakie trapiły angielskich oficerów, świadków tragedii w Oranie. Książka ukazała się niedawno pt. „Flota, która walczyła na dwa fronty”. Heckstall-Smith pisze:

— Atak na Oran przebiegał do historii jako największy błąd, kiedykolwiek popełniony przez Admiralicję Brytyjską. Gwałtowna operacja nie przyniosła żadnych rezultatów, rozniecała jedynie wrogość Francuzów do nas.

Premier Churchill bronił po wojnie ataku na Oran argumentem, że Anglia musiała uzyskać pewność, iż Niemcy nie użyją floty francuskiej przeciw aliantom. Premier już po trzech tygodniach działań wojennych na froncie zachodnim nie krył swego niepokoju o los tej floty. Co się stanie z flotą francuską, gdy Francja kapituluje? Oto pytanie, które nie dawało Churchillowi spokoju. Po raz pierwszy Churchill postawił to pytanie przed radem francuskim w Tours. 2 czerwca 1941 roku, gdy opuszczając Chateau de Mugot w towarzysztwie Darlana, zażądał od admirała francuskiego słówami: — Darlan, nigdy nie wolno panu do tego dopuścić, żeby oni mieli położyć łapę na francuskiej flocie...

Admirał Darlan, niechętny wszystkiemu, co brytyjskie, odczytał krótko:

— Nie ma o tym mowy. To by było sprzeczne z naszym honorem i dobrą tradycją francuskiej marynarki.

Po czterech dniach Churchill znów poruszył tę kwestię. Paul Reynaud, w obliczu beznadziejnej sytuacji na froncie, prosił wtedy Churchilla, by ten zgodził się na mo dyfikację porozumienia między obu krajami w tym duchu, żeby Francja, w razie potrzeby, mogła zawrzeć z wrogiem odrębny pokój. Premier brytyjski zareplikował: — Wpiew niech pan wysła francuską flotę do Anglii, potem będziemy dyskutować.

Francuska flota otrzymała wówczas jasno sformułowany rozkaz. W razie niebezpieczeństwa miała zatopić się sama, lub poszukać schronienia w portach zaprzyjaźnionych krajów. Ten rozkaz obo wiązywał również po podpisaniu niemiecko-francuskiego zawieszenia broni. Francuska flota pozostawała nadal pod

francuskimi rozkazami.

28 maja admirał Darlan wydał marynarce tajny rozkaz: — Gdyby sytuacja doprowadziła do zawieszenia broni na warunkach kapitulacji floty, sprzeciwić się temu żądaniu i nie wypełnić takich warunków...

Darlan skonkretyzował swoje stanowisko 14 czerwca. Rozkazał: — W razie podpisania nieszczonego dla nas zawieszenia broni, okręty francuskie mają skierować się do portów Wielkiej Brytanii lub do kolonialnych posiadłości Francji. 20 czerwca rozkazał wszystkim oficerom floty: — Nie pozwólcie, by jakikolwiek okręt dostał się nie uszkodzony w ręce wroga.

Admirał Darlan troszczył się o to, by Brytyjczycy byli na bieżąco informowani o wszystkich wydanych przez niego tajnych rozkazach. 18 czerwca Darlan dał słowo honoru Sir Dudley Poundowi, lordowi Admiralicji, że flota francuska, nie zostając wydana Niemcom. 22 czerwca Brytyjczycy zostali poinformowani, że z rozkazu Darlana jednostki floty francuskiej udały się do francuskiej Afryki Północnej. Trzy dni później, wiceadmirał Odend'hal, łącznik Darlana przy rządzie brytyjskim, odczytał Poundowi jeszcze jedną dyrektywę Darlana. — Gdyby kontrola Francji nad flotą uległa w jakiejś mierze osłabieniu, wówczas wszystkie okręty marynarki francuskiej — głośno dyktowała — mają popłynąć do portów USA, albo pójść na dno.

Ale Churchill i wielki admirał Pound nie dawali wiary tym zapewnieniom. Nie mieli zaufania do rzędu Vichy, już wtedy podjęli decyzję. Francuską flotę należało po prostu zlikwidować, zielone światło dla operacji „Katapult”. Jednak admirałowie angielscy, żyjący od lat na stopie przyjaźni z francuskimi kolegami, odradzali wykonanie tej operacji. Viscount Cunningham, najbardziej znany admirał angielski z okresu II wojny światowej, powtarzał — „Nigdy nie mogłem uwierzyć, żeby Francuzi byli skłonni wydać swą flotę Niemcom, lub Włochom”.

Kiedy Admiralacja zażądała wprost, by Cunningham śmiały wypadek zdobył flotę francuską, stojącą w Aleksandrii, Cunningham odepesował. — Jestem zdecydowanie przeciwny tym planom... Cunningham spróbował porozumieć się z komendantem francuskiej floty w Aleksandrii. Dopisało mu szczęście. Francuski admirał zgodził się na usunięcie z okrętów zapasu ropy naftowej i na zdjęcie z torped części uderzeniowych. Nad losem samych marynarzy miano się później zastanowić.

Niestety, Admiralacja nie chciała odstąpić od raz pożytych decyzji. Domagała się, by część francuskiej marynarki zesła na ląd jeszcze przed nastaniem zmroku. W tym momencie wypracowany z takim trudem kompromis zachwiał się. — „Być może, inny jakiś dowódca wykonałby polecenie — pisze historyk Heckstall-Smith. Ale następstwa tego byłyby katastrofalne. Jeden fałszywy krok i wielki port w Aleksandrii stanąłby tego dnia w ogniu”.

Admirał Cunningham był na tyle odważny, że zignorował rozkaz Admiralicji. Uniknął rozlewu krwi. Nie uniknął jednak tego rozlewu

Sir James Somerville, dowódca jednostek marynarki wojennej, które szły na Oran. Brakło mu zręczności Cunninghama, opanowania, pewnej niezależności sądu. Wprawdzie Somerville usiłował pertraktować z Francuzami, ale jego wysiłki speliły na niczym. 3 czerwca Somerville wydał swej flocie rozkaz, by skierowała lufy dział na Francuzów. Na francuskie okręty spadło nieoczekiwanie 200 tysięcy ton pocisków różnego kalibru.

Francuskie pancerniki „Bretagne” i „Provence” poszły na dno. Okręt liniowy „Dunkerque” i wielki kontrtorpedowiec „Mogador” zostały ciężko uszkodzone. 1200 francuskich marynarzy, dawnych sprzymierzeńców zginęło. Pewna część francuskiej floty zdołała się jednak uratować. Pancernik „Strasbourg” i 5 kontrtorpedowców przedostały się do Tulonu, gdzie połączyły się z 6 krążownikami, które zdołały uciec z Algieru.

Gdy Sir North ujrzał ponownie swego przyjaciela w Gibraltarze, Somerville był już złamanym człowiekiem. „Wielki rzeźnik z Oranu”, tak mawiał Somerville o sobie samym. Pisał też do żony. — To było zbyt krwawe, bym mógł cokolwiek opisać słowami. Przeklinam dzień, w którym objąłem dowództwo tej operacji...

Sir North był tak wstrząśnięty widokiem przyjaciela, że wystosował do Admiralicji drugą epistolę. Dowodził w niej, że wskutek braku zdolności przewidywania, także wskutek nadgorliwości, wydarzyła się jedna z największych katastrof militarnych. Wskazywał, że operacja „Katapult” osiągnęła cele przeciwne zamierzonym. Przecież duża część francuskiej floty przedarła się do Tulonu, więc do jednego z portów hitlerowskiej „Festung-Europa”.

London zareagował natychmiast i gwałtownie. Wielki admirał Pound oznajmił, że Admiralacja nie życzy sobie, by ktokolwiek mieszał się do polityki uprawianej przez Admiralicję. Skarżył się również na niebezpieczny brak rozsądku ze strony jego przyjaciela, to jest ze strony Sir Northa. Zresztą Admiralacja nie wybaczyła Northowi niczego. Minęło zaledwie pół roku i admirał otrzymał dymisję.

Sir Dudley North wierzył aż do swej śmierci, do 1961 roku, że działał słusznie. Historyk Heckstall-Smith znalazł takie zdanie w notatkach zmarłego admirała. — „Mój wstręt do operacji „Katapult” nie płynął z jakiegokolwiek uczucia do dawnego sprzymierzeńca, płynął z daleko idących wątpliwości co do brytyjskich metod prowadzenia wojny”.

Tyle „Der Spiegel”. Wydaje się, że niemiecki tygodnik ujawnia dostatecznie dużo, (być może, wbrew intencjom autora) o tajemnicach i celach polityki angielskiej. Te cele nie ulegają żadnej zmianie w żadnych warunkach i w żadnej nowej konfiguracji sił na świecie. Celem samym w sobie jest brytyjska racja stanu i nie więcej.

Oran jest zadrą, jest drzazgą, której wielu Francuzów po dziś dzień nie umie wyrwać z serca. Pamiętają. De Gaulle też pamięta. Stąd książka Heckstall-Smitha, będąca próbą pewnej rehabilitacji angielskich admirałów. Nieudana próba.

Oprac.: J. B.

Opinie w 100 słowach

MÓWIA:

KIEROWNIK
KLUBU MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI:

„Nieustającym bestsellerem są reprodukcje malarstwa francuskiego. Oczywiście „Słoneczniki” Van Gogha biją wszelkie rekordy. Poszukiwany jest wciąż Renoir, „Tancerki” Degasa, Utrillo... Otrzymałmy ostatnio 15 reprodukcji „Łódki” Van Gogha — została bodaj jedna... Nabywcy wciąż pytają o „Most zwodzony”...

Obecnie oprawa niemieckich reprodukcji odbywa się centralnie — dokonują jej Zakłady w Chojnicach, które przysyłają nam gotowe egzemplarze. Nie jest to najlepsze rozwiązanie, bo dawniej kiedy te sprawy spoczywały w naszych rękach, mogliśmy znaleźć upodobania odbiorców kierować w jakiś sposób dopływem gotowych reprodukcji. Dziś bierzemy to, co nam z Chojnic przysła. Przysłali np. 20 sztuk „Kwiatów” Renoira, które wbrew analogii do „Słoneczników” nie mają powodzenia”.

KIEROWNIK
ŁÓDZKIEJ
KSIĘGARNI
TECHNICZNEJ:

„Wielką popularnością wśród naszych klientów cieszyły się ostatnio dwa słowniki wydane po wojnie po raz pierwszy. Oto one: „Słownik Mechaniczny” polsko-niemiecki zawierający ponad 43 tysiące haseł z różnych dziedzin, kosztuje 120 zł. Drugi „Słownik Architektury i Budownictwa”, czterojęzyczny polsko-rosyjsko-niemiecko-angielski, wydany przez Wydawnictwo Naukowo-Techniczne wspólnie z Wydawnictwem Pergamon Press. Pozycja ta przeznaczona ostatnio na eksport, ale osiągalna jest też u nas w cenie 240 zł”.

KIEROWNIK
KSIĘGARNI
„PEGAZ”:

„Absolutnym bestsellerem była w ubiegłym tygodniu książka Jerzego Rawicza pt. „General Zagórski zaginał”, wydana przez Książkę i Wiedzę. Publikacja ta (której fragmenty publikował w swoim czasie „Świat”) opowiada o śmierci generała brygady Włodzimierza Zagórskiego więzionego przez Piłsudskiego na Antokolu w Wilnie i zamordowanego po przyjeździe do Warszawy. Książka Rawicza kosztuje 40 zł i w tej chwili czekamy na jej drugi rzut. Pierwszy sprzedaliśmy niesłychanie szybko”.

KIEROWNICZKA
KSIĘGARNI
WYDAWNICTWA
IMPORTOWANYCH
„HORYZONT”:

„Szalona popularnością cieszyło się kieszonkowe wydanie „Słownika rosyjsko-polskiego” wydanego przez moskiewskie Wydawnictwo Słowników Obcych i Narodowych. Słownik kosztował 6 zł i 10 gr i w ciągu godziny sprzedaliśmy 900 egzemplarzy. Bardzo popularny jest również I tom dwutomowej radzieckiej encyklopedii. Jest to wydawnictwo w typie naszej „Małej Encyklopedii Powszechnej” — zawiera około 40 tysięcy haseł, jest bogato ilustrowane i kosztuje zaledwie 40 zł.

No i wreszcie zawsze popularny Walt Disney. Jego najnowsza publikacja jaką otrzymaliśmy jest „Lost and Found” („Zgubione i znalezione”) w cenie 13 złotych”.

Zanisała: H. B.

„OPOWIADA INŻ.
JERZY JABŁKIEWICZ

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Wyjrzałem przez okienko. Kolorowe, niespokojne punkty, tysiące światełek.

— Niech pan spojrzysz na dół — powiedziałem do mojego sąsiada w samolocie — jaka wspaniała mozaika. Na lotnisku w Kairze wyładowali parę minut po dziesiątej. Zapadła wieczorna zmierzch. Termometr wskazywał plus 27 stopni. Wydawało mi się, że wchodzę w „ścianę ciepła”, że nie ma czym oddychać. Był koniec listopada.

Widziałem Aleksandrię i Port Said, ale Kair najdłużej zostanie w pamięci. W Kairze o dwunastej w nocy tłumy na ulicach są tak samo liczne i rozrzeszczone (strasznie głośno rozmawiają) jak o dziesiątej rano. Grupy mężczyzn w pasiastych lub białych ubiorach — wypisł, wymaluj nasze pizamy, w białych turbanach (bogatego

poznaje się po turbanie białym z kółkiem czarnych muszkek, kamyków) idą ulicami, zatrzymując się raz po raz pod palmą, cyprysem czy drzewem liściastym „ostrzyżonym” w kształcie owróconego trapezu. Kobiet prawie nie widać. Kobiety zajmują się domem.

Dom. W jednej dzielnicy Kairu domy XVIII, XIX, wieczne, w drugiej supernowoczesne: szkło, metal, w trzeciej natomiast „sklejanki”: domki z kamienia, gliny, szmat, gazet, etc. To coś co imituje dom, to „sklejanka”. Ma tylko trzy ściany, nie ma dachu ani mebli wewnątrz.

W „sklejankach” żyje tysiące mieszkańców Kairu. W supernowoczesnej dzielnicy Kairu, w pięknych magazynach, hotelach, restauracjach personel sprzedaje luksusowe towary, mówi kilku językami, panienki są elegancko, „z europejską” ubraną. A kilka ulic dalej, na stercie starych pism ilustro-

wanych siedzi wychudły mężczyzna i prowadzi interes, sprzedaje pisma, których nikt nie kupuje. Obok niego drugi właściciel „handlowego interesu” — mężczyzna z małą turecką orzeszką. Jeszcze dalej uliczny sprzedawca placzków. Tak zwane artykuły spożywcze leżą na chodniku, prawie pod nogami przechodniów.

W nowoczesnych hotelach, w nowoczesnych domach pyszne łazienki i baseny. Ale setki bezdomnych mieszkańców Kairu spędza noc na zamkniętych do maksimum chodnikach, myje się w licznych kanałach — odpływach Nilu, w kanałach, które są jednocześnie wodopojem dla bydła i miejscem zmywania brudnych naczyni.

Kair. Mozaika eleganckich neonów widoczna z samolotu, a obca w tym samym mieście, w dzielnicy „sklejanych” domków. Kair — miasto kontrastów.





Nie tylko w naszym kraju dwa przeciwstawne poglądy ścierały się zawsze, gdy chodziło o układ świątecznego programu telewizyjnego. Według jednych, program ten miał dostarczać ogrzanemu ciepłem rodzinnym człowiekowi wyłączone rozrywki — sterylnej w swojej przeciętności. Inni uważają, że właśnie wywczasu są odpowiednią porą dla trudniejszych zajęć umysłu i — bagatela! — szukają poparcia dla swego poglądu w pismach Aristotelesa.

Polski świąteczny obyczaj żąda w tych dniach ciężkiej pracy od żołądka. Sklepy, dość puste w chwili gdy to piszę, zaspokoją niewątpliwie nasze żołądkowe wymagania nieco później. Jasną jest rzeczą, że w tych warunkach umysł odda się problemom smaku potraw, a twórcy programu telewizyjnego nawet gdyby chcieli udawać Greka, muszą zostać wierni Polakom.

Przeciętna polska świąteczna mieszanina telewizyjna uwzględniła Disney'a i Chopina, wspominki wojenne i „dawne dobre czasy” tak jak widzieli je hrabia Fredro i mieszcuch Balucki. Odrobina racjonalistycznej myśli powinna zabłysnąć w wieczór wigilijny. Warszawski Teatr Telewizji zapowiada „Syna marnotrawnego” Woltera w reżyserii Bohdana Trukana i scenografii Krzysztofa Pankiewicza.

Teatr Telewizji Łódzkiej zaprezentuje wieczorem pierwszego dnia świąt komedię Karola Capka „Rozbójnik”. Reżyseruje Ireneusz Kanicki, scenografia Jerzego Masłowskiego. Inny niż u intelektualisty Woltera humor Capka zgodny będzie z nastrojem tego dnia świąt. Zobaczymy kilku lubianych łódzkich aktorów, którzy nie wyjechali jeszcze do Warszawy. Osobiście najbardziej cieszę się na Jadwigę Andrzejewską, Aleksandra Fogla, Ludwika Benoita i Bohdanę Majdę, zawsze pełnych zwykłej, ludzkiej serdeczności.

Dwuznaczny więc, niepo-

kojący tak w roli Cezara, jak w kabaretowej piosence Gustaw Holoubek wystąpi po południu w pierwszym dniu świąt w programie Jerzego Gruzdy „Poznajmy się”. Dwa starsi panowie z właściwą już tylko im dwóm kurtuazją i wiedeckim powściągliwością w recordingu w poświąteczną sobotę, 28 grudnia.

Ramot filmowych, na których jak wiadomo program telewizji opiera się nie tylko w okresie świątecznym — oczywiście mnóstwo. Najwięcej zabawy obiecuje amerykańska starość pt. „Być albo nie być”, czyli jak Hollywood wyobraża sobie okupację w Warszawie. Reżyserował mistrz komedii salonowej Ernst Lubitsch, w głównej roli damskiej Marlena Dietrich.

Nie zabraknie także stałych programów cyklicznych. Na pewno warto poświęcić pół godziny Grzegorzowi Łasocie, który w kolejnym odcinku „Portretów” (28.12) będzie mówił o Julianie Tuwimie.

Nasze łódzkie „Takt i nietakt” nie grożą poważniejszym nietaktem wobec nikogo, zatem bez specjalnej obawy możemy obejrzeć i ten program.

„Wielokropki” w omawianym okresie zobaczymy dwukrotnie. Po raz pierwszy w piątek, 27.12, po raz drugi — w noc sylwestrową. Będzie to mianowicie „Szopka Wielokropka”. Mam nadzieję, że zawołanko, którym rozpoczyna się każdy program, tym razem okaże się zbyteczne. Przytaczamy je dla tych, wobec których nie skutkuje i którzy dlatego go nie znają „Telewizju, obudź się!”

Na zakończenie radzimy koniecznie nie pominąć w niedzielę 29.12 kolejnego wykładu telewizyjnego kursu rolniczego. Temat wybrany został z dużym wyuczuciem chwili. Potrafi wyjaśnić wiele tajemnic świątecznego stołu i dlatego wydaje się interesujący również dla laików. Jest nim „Wychów cieląt”.

J.M.

Bestsellery minionego tygodnia

FILM

POLONIA — „Via Margutta”	14 000 widzów
BALTYK — „Przeminęło z wiatrem”	10 000 widzów

TEATR

NOWY (Mała Sala) — „Całe życie” Hartoga	615 widzów
NOWY — „Maria Stuart” Słowackiego	4 000 widzów
POWSZECHNY — „Fizycy” Dürrenmatta	1 200 widzów
„Katak” Wincelberga	1 200 widzów
JARACZA — „Trzecia Patetyczna” Pogodina	1 320 widzów
„Dzieci pana Majstra” C. Kłińskiego	798 widzów

TEATR MUZYCZNY

OPERA ŁÓDZKA — „Bal maskowy” Verdiego	700 widzów
„Carmino Burano” Orffa	360 widzów
OPERETKA — „Sensacje w Londynie” Kawana i Bauera	1 300 widzów
„Zaczęło się w banku” Minnickiej i Erzezińskiej	1 300 widzów

KONCERTY

FILHARMONIA ŁÓDZKA — „Requiem” Verdiego, Orkiestra Symfoniczna i Chór FL	1 300 widzów
--	--------------

ESTRADA

„Zgaduj-Zgadula”	3 500 widzów
------------------	--------------

„Odgłosy” na cenzurowanym

Bądź współredaktorem naszego tygodnika i prześlij na adres redakcji, Łódź, Piotrkowska 96 odpowiedzi na następujące pytania:

1. Co Ci się w „Odgłosach” podoba?
2. Co Ci się w „Odgłosach” nie podoba?
3. Czego Ci brak w „Odgłosach”?

Podaj Twój wiek i zawód. Wśród uczestników ankiet, którzy nadesłali odpowiedzi do dnia 2 stycznia 1984 r. (decyduje data stempla pocztowego), zostaną rozlosowane następujące nagrody:

1. APARAT TRANZYSTOROWY „KOLIBER”
2. DAMSKI ZEGAREK NA REKĘ.
3. APARAT FOTOGRAFICZNY



Warto posłuchać

MOTTO:

„Ze wszystkich hałasów stosunkowo jeszcze najciszej jest muzyka”

(niejałd Johnson)

A zatem hałasujmy muzyką! Cel ten najłatwiej urzeczywistnić za pomocą płyt gramofonowych. Udajemy się zatem do sklepu muzycznego i... tu rozpoczyna się dylemat. Kupić — nie kupić — co kupić?... Spróbujmy państwu poradzić.

Muzyka klasyczna
Płyta NO280 z serii „Młodzi artyści polscy” (Między innymi Zofia Rudnicka — sopran, w roli Margaret z opery „Faust” Gounoda) cena 30 zł.

Jazz — bogaty wybór, od tradycyjnego Jimmy Smitha — organy Hammond, w repertuarze Fas Wallera (Blue Note 4160) — (wydalem 100 zł i nie żałuję), poprzez „We Dig Dixieland Jazz” (MG 6070) na której „reaktywowanie” diabelskiego zajmują się między innymi Sidney Bechet, Bobby Hackett i Edie Condon — do jednego z orłowych modernistów Johna Coltrane — tenor sax, któremu towarzyszy znany w Polsce Kenny Drew — fortepian (1577) 21 100.

Taniec piosenka — bardzo ciekawa kubańska płyta „Cha, cha, cha for Moderns” (PLP 3012) na której południowoamerykańskie rytmy brzmią w kompozycjach Offenbacha (Barcarola), Handy'ego (St. Luis Blues) i Paderevskiego (Menuet). Kapitałny i niedrogi „hałas” — 100 zł.

Perez Prado (3009) drogi — 150 zł, ale dobry. Ciekawe

aranżacje i nienaganny poziom techniczny. Da się tańczyć...

Georg Ots — jeden z najpopularniejszych piosenkarzy radzieckich w „Podmoskiewskich wieczorach” Solowiowa — Siedoja (10250). Ostatnie egzemplarze — 21 15.

Edyta Piecha — francusko-polsko-radziecka piosenkarka z zespołem „Druśba” (5677) — 30 zł.

Emil Dymitrow — autor „Arlekin” — śpiewa oprócz swego życiowego przeboju trzy dobre piosenki na płycie D000600, 30 złotych.

Niebiesko-Czarni — „Na swojej nute” (N 20051). Pełne humoru, dowcipu i kultury muzycznej aranżacje „Głębokiej studzienki”, „Kawalerów” itp. Big-beatowy „hałas” w dobrym wydaniu, 30 zł.

Irena Santor — na płycie N 0234 wyciska leżące starymi przebojami „Ada to nie wypada” i innymi. Słucha się z uśmiechem rozrzewnienia za 30 zł.

Jednym słowem — jest czym hałasować. „Wesołej muzyki” pod świąteczną choinką życzy

PLEXTOMAN

P. S.
Zakup utrudnia stan techniczny urządzeń do odtwarzania płyt znajdujących się w niektórych sklepach. Szczególnie MHD „Płyty” — Piotrkowska 85 posiada zestaw adapter — głośniki, działający na zasadzie przyrządu do wyrażenia organów słuchu. Określenie „muzyczny hałas” należy tam traktować bez cudzysłowu, o czym ostrzeżenie

P.



AKWAFORTA LESZKA RÓZGI, NAGRODZONA NA DOROCZNYM ŁÓDZKIM KONKURSIE GRAFIKI ZWIĄZKU PLASTYKÓW

Cywilizacja grecka zaczęła się około 5500 roku przed naszą erą. Taką tezę wysuwa Christian Zervos w swym dziele *Naissance de la civilisation en Grèce* (Narodziny cywilizacji w Grecji) około 5500 roku przed naszą erą — jego zdaniem — powstają pierwsze miejskie czy raczej półmiejskie osiedla w południowo-wschodniej Tessalii. W tym samym czasie pojawia się tam wysoko rozwinięta ceramika, która miała dać początek wielkiemu ruchowi plastycznemu w świecie greckim.

We Francji ukazał się przedkładał książkę Romana Guila znanego polskim czytelnikom z powieści *General Bo* — pt. *Azef*. Jak sam tytuł wskazuje jest to biografia wielkiego prowokatora carskiej ochrony Ewno Azefa, postaci która od kilkudziesięciu lat zwraca na siebie uwagę ludzi pióra.

We Francji przyznano jeszcze jedną nagrodę. Tym razem jest to Prix Interallie. Otrzymała ją Renée Massip, pisarka znana już w latach pięćdziesiątych, za powieść traktującą o ruchach mas. Jest drugą kobietą laureatką Prix Interallie. Zamierza ona teraz podjąć się rzeczy, którą sama uważa za trochę niemożliwą. Chce napisać biografię Jana XXIII.

Syn Winstona Churchilla, znany publicysta 52-letni

Randolph Churchill, wymówił współpracę londyńskiej gazecie niedzielnej „News of the World” (ponad 6 milionów każdorazowego nakładu) dlatego, że jego wywiad z premierem Home opublikowano na miejscu — jego zdaniem — nie dość honorowym. Z tych samych powodów Randolph Churchill zerwał współpracę z dziennikami „Daily Mail”, „Daily Telegraph” i „Evening Standard”. A więc uwaga, redaktorzy czasopism! Drukujcie artykuły swoich współpracowników na odpowiednio zaszczytnych miejscach!

W wydawnictwie węgierskiej Akademii Nauk ujrzał światło pierwszy tom „Encyklopedii literatury węgierskiej”. Drugi ukazuje się na początku 1964 roku. W jej opracowaniu wzięło udział ponad 100 historyków literatury, krytyków i pisarzy. Jesteśmy w sytuacji zawsze zazdroścących podobnych wydawnictw encyklopedycznych.

W swoim czasie dużo u nas słyszało się o współpracy z zagranicą

nymi, raz po raz padało niezbyt dobrze brzmiące słowo: koprodukcja. Teraz o koprodukcji słyszy się niewiele. Zanotujmy więc jeden fakt z zagranicy. Oto ma zostać zrealizowany przez reżyserów ukraińskich i jugosłowiańskich film poświęcony wspólnej walce z hitlerowcami. Tymczasowy tytuł: „Dzień zwycięstwa”.

José Bergamín, hiszpański pisarz katolicki, który protestował przeciwko przesładowaniu strajkujących górników w Austrii, poczuł się zagrożony ze strony reżimu generała Franco. Pisarz udał się do ambasady urugwajskiej w Madrycie, skąd umożliwiono mu ucieczkę do Ameryki Południowej.

W Moskwie skonstruowano prototyp przenośnego telewizora, nadając mu właśnie nazwę stolicy. Waży ok. 9 kg, na antenie teleskopowej, mieści się w futerale. Może być zasilany zmiennym prądem sieciowym lub prądem z baterii i akumulatora. Wymiar ekranu: 150 X 200 mm.

Paweł Popowicz, który — jak to powszechnie wiadomo — 48 razy okrążył Ziemię, opublikował wiersz epicki pod tytułem „Maszeruję po Mlecznej Drodze”. Został on następnie z ukraińskiego przełożony na rosyjski. Przekład opublikowano w „Krasnoj Zvezdie”.

W 1965 roku przypadnie sześćdziesiąta rocznica urodzin autora CICHEGO DONU. W rostowskim Instytucie Pedagogicznym powstał gabinet naukowy, poświęcony badaniu życia i twórczości Szołochowa. Przygotowuje on m. in. pełną bibliografię dzieł wielkiego pisarza, wydawanych w różnych językach świata, która ukaże się w 1965 roku.

W Rumunii rozpoczęto wydawanie historii architektury rumuńskiej. Pierwszy tom, opracowany przez Grigore Ionescu, ukazał się niedawno w księgarniach. Obejmuje on okres od wspólnoty pierwotnej do końca XVI wieku. Tom uwzględnia także i dzieje twierdz greckich oraz budowli rzymskich.

FAULKNER A SEGREGACJA RASOWA

W tym szczególnie trudnym dla Stanów Zjednoczonych okresie po tragicznych wydarzeniach w Dallas, literacka prasa francuska przypomina książkę znanego pisarza amerykańskiego, a zarazem wybitnego uczestnika walki o pełnię praw obywatelskich dla Murzynów. Jamesa Baldwina. Książka nosi tytuł „NIKT NIE ZNA MEGO NAZWISKA”. Tytuł „Les Lettres Françaises” przedrukowuje jej fragmenty będące czymś w rodzaju dyskusji z poglądami zmarłego przed niespełna dwoma laty wielkiego pisarza Williama Faulknera na temat kwestii murzyńskiej.

Baldwin analizuje poglądy i przemądy „dobrze myślących” mieszkańców południowych Stanów, którzy nie chcą widzieć anachronizmu utrzymującego się tam struktury społecznej i deklarują się jako zaciekli przeciwnicy wszelkich zmian, a w szczególności — przyznania pełni praw obywatelskich ludności murzyńskiej. Na tym tle małą war-

tość przedstawia sformułowanie Faulknera w sprawie konieczności reform: „Idźcie naprzód powoli”. Rzecz w tym, że Południowcy nie mają w ogóle zamiaru iść naprzód, a każdego, kto ośmiela się podawać krytykę panującą na Południu stosunki, uważają za niespełna rozum.

Równie małą wartość posiadają uspokajające oświadczenia innych osobistości amerykańskich, żeby zostawić swobodę działania Południowcom, którzy być może sami zaczęli sobie zdawać sprawę z ich anachronicznej struktury społecznej, ośmieszającej ich w oczach całego świata, a pod dążąc rewizji panujące na Południu stosunki społeczne (mowa naturalnie, głównie o uciążliwym dla kolorowych, a w szczególności — ludności murzyńskiej).

Faulkner jednak nie poprzestaje na zaleceniu: „Idźcie naprzód powoli”. „Nasza postawa jest niesłuszną i nie do utrzymania” — stwierdza, ale znów... „Nie można pozo-

stać społeczeństwa tak wrażliwego (jak Południowcy) w stanie zachwianej równowagi” (przez którą Faulkner rozumiał zapewne ciągłe wrzenie i niepokój, jaki budzi na Południu nierozwiązana kwestia murzyńska). Baldwin interpretuje to, powołując się na Faulknera w ten sposób, że jeśli ma ona mieć jakiegokolwiek znaczenie, to chyba tylko to, że do stanu wrzenia doprowadziło Południowców orzeczenie Sądu Najwyższego, stwierdzające, że segregacja rasowa jest bezprawiem.

Baldwin uważa za smutną prawdę fakt, że pewna zmiana w losie obywateli czarnej rasy przysłała z zewnątrz, pod presją Stanów Północnych. (Faulkner co do tego zawsze był wyrazicielem poglądu, że sprawiedliwość nie powinna przychodzić z zewnątrz. „Krzywdę wyrządzamy my, Południe. My ją musimy odkupić i wykreślić sami i bez niczyjej pomocy”, pisał w „Intruzie”).

Pomimo sprzeczności w po-

glądach Faulknera na sprawę segregacji rasowej, Baldwin podkreśla pozytywne momenty charakteryzujące stanowiska autora „Intruz”, zwraca on, między innymi, uwagę na to że pisarz wypowiedział się niedwuznacznie: „Gdziekolwiek by się żyło, w dzisiejszym świecie i chciałoby się sprzeciwić równości ras i ludzi odmiennego koloru skóry, to tak, jakby się żyło na Alasce i burzało się, że tam są śniegi”.

Epoka, której nadejście oczekiwał Faulkner — pisze Baldwin — to ta, w której mieszkaniec Południowych Stanów Ameryki pojedna się ze sobą samym, nie będzie szukał ucieczki od głosu sumienia i postawi przed sobą odważnie problem równości wszystkich obywateli Ameryki wobec prawa. Epoka ta jeszcze nie nadeszła. Dlatego — kończy Baldwin — trzeba rzucić wyzwanie i walczyć.

ARYSTARCH



co piszą inni

W „Kulturze” Lesław Bartelski rozmawia z Tadeuszem Brezą; o biografii literackiej, o kryzysie powieści i o antypowieści, o Kadenie i o lekturach i o wpływach. Oto co mówi Breza o Boy'u, trafiając, jak mi się zdaje, bardzo celnie: „widziałem Boy'a stać. Był to człowiek ogromnej miary. Na mnóstwo spraw reagował podobnie jak on. Fascynował mnie jego styl. Do spraw, w tym zakresie, w jakim je poruszał, nadawał się w sposób jedyny. Miałem czasami do niego pretensje, że najbardziej przejmując się problemami, które gdzie indziej były już od stu lat załatwione. Powiadałem sobie, że ta nasza wielka Berta o najpotężniejszym kalibrze i największym polu ostrzałowym zasypwała pociskami poezję już zmurszałą. Takie konsyderacje ograniczały jego wpływ intelektualny na mnie, był on jednak mimo tego — znaczny”. Mocno i dobrze powiedziane. Myślę, że gdyby Boy był dzisiaj powiedziałby to samo o sobie minionym, na złość wszystkim tym, którzy chcą dziś Boy'a ubrać w nową szatę. W wywiadzie mowa jest oczywiście i o owej powieści, wielkiej powieści politycznej z lat międzywojennych, na którą wszyscy czytelnicy Brezy czekają. Ale Breza się wzbrania i mówi nie chce. Trudno mu się dziwić, artyści zwierzą się za zwyczaj niechętnie i mają w tym swoje racje. A może Breza pisze właśnie wielką powieść polityczną o dwudziestolecu powojennym.

wienia zjawisk z kręgu zainteresowań teatralnych w latach wojny i okupacji”.

Kazimierz Gdynski ma oczywiście wiele racji. Ostatnie dwudziestolecie naszego teatru domaga się i wnikliwego przeanalizowania i syntezy. Czekamy na takie prace, a nie wiadomo, czy i kiedy się ich doczekamy. Ma też rację Gdynski, kwestionując poszczególne stwierdzenia, zawarte w owym numerze „Pamiętnika Teatralnego”, jest to numer, delikatnie mówiąc, wysoce dyskusyjny. Trudno przecież zgodzić się z autorem artykułu, gdy powiada, że rozważania publiczne na „powyższe tematy” — a więc na temat losów teatru polskiego, a więc na temat losów aktorów polskich w czasie ostatniej wojny, nie są nikomu potrzebne. I, że powinny rozważania owe raczej dojrzywać w pracowniach naukowych, niż publicznie być dyskutowane. Wszystkie rozważania na wszystkie tematy są zawsze potrzebne. Szczególnie, gdy dotyczą spraw, o których i tak się mówi po cichu. Sprawy na pewno niełatwych i bolesnych. Sprawy owe będą bowiem bolesne, połąd, połąd nie zaczniemy mówić o nich głośno.

PIĘKNA SKROMNOŚĆ

W ankiecie „Życia Literackiego” zatytułowanej „Moje dwudziestolecie”, tym razem mówi Jarosław Iwaszkiewicz. Poprzednie wypowiedzi obfite były i w słowa i w wyznania. Iwaszkiewicz opowiada trzy czy cztery wydarzenia, bardzo osobiste, tylko jego na pozór dotyczące: a przecież dotyczące nas wszystkich. Opowiada po prostu, na niecałych dwóch szpaltach, tak jak się mówi, bo cokolwiek pisze Iwaszkiewicz, nawet gdy pisze wiersz, pisze „tak jak się mówi”. Na czym polega ten fenomen? Dlaczego każde słowo, które wypowiada, wielki pisarz (nie tylko o Iwaszkiewicz tu myślę), choćby to było słowo najprostsze i oczywiste i choćby nawet zdawało się w pierwszej chwili banalne, obchodzi i dotyczy nas wszystkich? Dlaczego dotyka, nie tylko dotyczy. Nie stawiamy sobie przecież pytań, na które nie potrafimy odpowiedzieć. „Stary człowieku — mówi Iwaszkiewicz — nie męcz siebie i swoich czytelników niepotrzebnymi pytaniami, bo i nie czas o tym. Wesołych Świąt zatem, za dwa tygodnie wyjdą znów tygodniki i znów będziemy się męczyć, stawiając pytania i próbując na nie odpowiadać.”

BOILEAU

TEATR POLSKI PODCZAS WOJNY

Rozważania publiczne na powyższe tematy — pisze Kazimierz Gdynski w ostatnim numerze „Życia Literackiego”, odcinając numer „Pamiętnika Teatralnego”, poświęcony teatrowi polskiemu w latach ostatniej wojny — nie są ostatnim, i żadnej idei, w tej chwili potrzebnej, zwłaszcza przy próbach dyskusowania tego zagadnienia na przykładach żywych. Niech te rozważania najpierw i przede wszystkim dojrzeją w pracowniach naukowych.

Jest sprawa, tematyka daleko ważniejsza, którą „Pamiętnik Teatralny” dotąd się nie zajął: narodzin, rodowodu, tradycji i odrębności teatru Polski Ludowej, teatru socjalistycznego, zwłaszcza, że stoimy u progu dwudziestolecia ludowej ojczyzny i kultury. Zebrany przez współpracowników „Pamiętnika teatralnego” — materiał mógł posłużyć — po gruntownej selekcji — do historycznego, z pozycji prawidłowo naukowej, omó-

POLONICA

A GDZIE POLSKA?

Dotarła do nas angielska encyklopedia teatralna „The Oxford Companion to the Theatre”, wydana na pięknym papierze, z licznymi ilustracjami, objętości około 1.000 stron druku. Jest to już szóste wydanie tej publikacji, poprawione i uzupełnione. Zabraliśmy się do czytania ze zrozumiałym zaciekawieniem. Oczywiście bardzo nas interesowało, co też uczeni specjalści napisali o Polsce i polskim teatrze. Jakież było nasze zdziwienie, gdy pod literą „P” nie znaleźliśmy w ogóle naszego kraju. Pozaaktkowo zdawało się nam, że po prostu przegapiliśmy to hasło.

Sprawdziliśmy raz jeszcze. Nie, Polski nie ma w tej grubej solidnej encyklopedii teatralnej. Zaczęliśmy więc szukać poszczególnych naz-

wisk. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, Żmichowski — ci na pewno zostali uwzględnieni, zwłaszcza, że wielu drugorzędnych dramatopisarzy europejskich nie poskapiło miejsca. Doremne żłudzenia. Nie ma w „The Oxford Companion to the Theatre”, ani jednego nazwiska polskiego. Zrezygnowani chcieliśmy już odłożyć encyklopedię na bok, gdy nagle przyszło nam do głowy, by sprawdzić jeszcze w części uzupełniającej, w tzw. suplementach. W suplementach, jak wiadomo, zamieszczano hasła, pominięte w części głównej i zasadniczej lub uzupełnienia zjawisk, najświeższej daty. Rzeczywiście — „Polskę” pomieszczono w części dodatkowej. Aż się wierzycie nie chce. Wybitni specjalści zgubili „Polskę” po drodze i dopiero ukladając suplement zauważyli to drobne przeoczenie. Okazuje się, że kraj o tysiącletniej historii i kulturze, położony w sercu Europy, liczący 30 milionów mieszkańców, może być niezauważony przez uczonych i ignorancję zagranicę.

nych. Duża rzecz i duży wstyd.

W LIPSKU I KILONII

W Lipsku (NRD) odbyły się VI Międzynarodowe Dni Filmu Dokumentalnego i Krótkometrażowego z udziałem przedstawicieli dwudziestu pięciu krajów. Za najlepsze uznano filmy angielskie i polskie. Oto, co na temat filmów polskich pisze gazeta „Die Welt”: Mistrzowski, doskonały film dokumentalny nadszedł z Polski. Tytuł: „Requiem dla 500.000”, reżyseria: Jerzy Bossak, temat: powstanie w getcie przed dwadzieścia laty. Film zmontowany z niemieckich materiałów archiwalnych. Muzyka: Liszt, Händel, Mozart. Czas: Wielkanoc. Komentarz: zwięzły, bardzo konkretny, zesłany z niemieckich rozkazów i meldunków, i uzupełniony notatkami mieszkańców getta. W filmie tym obraz, ujęcie, muzyka i tekst są na tak wysokim poziomie, tak przejrzyste i tak zjawy, że atakują świadomość widza równoległe ze wszystkich stron. Bardzo ostrym gorzkim filmem, który postulat prawdy filmowej doprowadza do granic ostateczności, jest również film Tadeusza Jaworskiego pt. „Źródło”.

Autorka Anniese de Haas kończy artykuł stwierdzeniem: „Najlepsze programy

przywieźli na Festiwal Polacy i Angliecy. Polacy, pełni eksploatującej siły, Angliecy — spokojniejsi, bardziej łagodni”. W tym samym mniej więcej czasie odbyły się Dni Filmu w Kilonii (NRD), poświęcone głównie zagadnieniom szkolnictwa filmowego. Wzięli w nich udział przedstawiciele Wyższych Szkół Filmowych z Paryża, Madrytu, Rzymu i Łodzi (prof. Jerzy Toeplitz). Łódzka Wyższa Szkoła Filmowa, znana dobrze w Europie, doczekała się również w Kilonii wysokiej oceny. Doświadczenia łódzkiego szkolnictwa filmowego coraz częściej brane są pod uwagę, ostatnio np. w NRD, gdzie przystąpiono do utworzenia Akademii Sztuki Filmowej i Telewizyjnej.

NAGRODY NA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ OBCOJĘZYCZNĄ

Jury nagrody na najlepszą książkę obcojęzyczną tłumaczoną na język francuski w roku 1963 opublikowało listę pozycji, które przeszły wstępna selekcję. Lista jest dość długa i obejmuje przede wszystkim pisarzy anglosaskich, głównie amerykańskich. Jest tam John Salinger, William Styron, Mary Mac Carthy, Richard Yates i inni. Na liście tej figuruje również jedna, co prawda jedyna, książka pisarza polskiego. To Szałka o Szekspirze Jana Kotta (w wersji francuskiej jej tytuł brzmi Szekspir nasz współczesny).

PANI IRENA

W listopadowym numerze „Moskwy” znajdujemy opowieść Gennadija Siemienichina pod powyższym tytułem. Pani Irena Dembowska ocala życie radzieckiemu lotnikowi, dowódcy zalogi bombowca, który zbombardował kasyno oficerów hitlerowskich w Poznaniu. Samolot został stracony, a rannego lotnika pani Irena znajduje w lesie. Jej brat Tadeusz jest głównym chirurgiem w pobliskim ewakuacyjnym szpitalu niemieckim. Od początku służy u hitlerowców, dokonywał nawet na ofiarach Majdanka śmiertelnych eksperymentów. Teraz jednak przeprowadza operacje, a nawet „opłem” odwozi lotnika aż pod Kraków, do leśniczówki. Między lotnikiem i Ireną dochodzi do miłości, potem lotnik przy pomocy partyzantów, zostaje przetrzebony na drugą stronę Wisły, do swojego pułku, gdzie jednak staje się przedmiotem niemiełego śledztwa, prowadzonego przez przedstawicieli organów Berli. Ratują go z opresji dowódcy pułku i marszałek, dowódca frontu.

Pisarz z sentymentem opisuje Irenę, jej bohaterstwo i poświęcenie, spotykany w opowieści wiele czynnej żywotności innych naszych rodaków dla lotnika.

Oczywiście, jesteśmy ciekawi próby pokazania polskie-

go życia pod okupacją przez radzieckiego pisarza. Spojrzenie z zewnątrz, zwiadczało, przedstawione przez sąsiadów, jest zawsze godne uwagi. Niestety, Siemienichina zawodzi znajomość realiów. Dzieje Tadeusza — przecież nie volks-deutsche — wydają się nieprawdopodobne. W Poznaniu Niemcy deklaruja za wydanie lotnika... 50 tys. złotych, a nie marek. Sztab partyzantów mieści się „w obszernym podziemnym pokoju”, są w nim fotele, pluszowa zielona kanapa, biurko o rzeźbionych nogach, jaskrawie płoną zawieszona u sufitu lampa, jest tam oczywiście i szampan, bez którego nie potrafia ożyć się nasi rodacy. Przed wojną sędziwo polscy noszą mundury... itd.

POLSKIE ETIUDY

W Verlag Neues Leben w Berlinie ukazał się zbiór reportaży o Polsce, pióra Kurta Davida pt. *POLNISCHE ETUDEDEN*. Autor w sposób lekki i barwny, a bardzo dla naszego kraju życzliwy, opisuje swoje wędrowki po miastach polskich, opowiadając ich historię i zaszło po wojnie przemiany. Jest w książce Kurta Davida również rozdział poświęcony Łodzi pt. „Łódź — Stadt der tausend Schornsteine” (Łódź — miasto tysiąca kominów). Autor opi-



Fot.: Erol Feridun

WYSTAWA FOTOGRAFIKI STUDENTÓW PWSTiF

Szkoda, że młodzi filmowcy, studenci pierwszych lat łódzkiej PWSTiF wystawiający co roku swe prace nie numerują kolejnych ekspozycji. Nie sposób zatem ustalić, która to już z rzędu wystawa otwarta została w tych dniach w loka-

lu Polskiego Towarzystwa Fotograficznego przy ul. Andrzeja Struga 2.

Prezentacja szkolnych prac 14 młodych adeptów filmu jest niemiernie bardzo interesująca. Wśród 88 wystawionych fotogramów przeważają zdjęcia re-

portażowe i też one są z pewnością najambitniejsze i najciekawsze artystycznie. Ta wystawa zapowiada więc chyba swe możliwości przyszła kadra tegich dokumentalistów.

SUBSKRYPCJA GRAFIKI W LICZBACH

Już po raz trzeci łódzcy plastycy ogłaszają subskrypcję na prace graficzne. Inicjatywa od razu chwyciła i w czasie pierwszej subskrypcyjnej wystawy w roku 1961 łódzianie zakupili ponad 350 grafik. Ale też wybór był spory. — 110 prac. Rok później artyści przedstawili na-bywcom tylko 70 prac i za-kupy nie przekroczyły 200 egz., mimo że cenę ustalono bardzo niską — 100 zł.

Obecnie przedstawiono na-bywcom 60 prac, ale ceny są dość zróżnicowane — od 100 do 450 zł. Przyjęto zasadę, że komisja przyjmująca pracę

nie ustala jednocześnie ceny, jak to było dawniej, lecz pozostawia w tym względzie wolną rękę autorowi, który oczywiście, nie może wykroczyć poza granice ustalone sumami 100-450 zł. Nie zdała egzaminu praktyka z roku 1962, kiedy nie przyjmowano prac mogących mieć wartość wyższą niż 100 zł. Graficy po prostu zgłosili słabe prace i tu chyba tkwi przyczyna małego powodzenia ubiegłorocznej subskrypcji.

Jak będzie w tym roku, nie wiadomo. Jeśli jednak komuś tegoroczne ceny na subskrypcyjnej wystawie wyda-

ją się wygórowane informujemy, że w obowiązującym w Polsce „Cenniku Prac Plastycznych” znalazłoby takie pozycje: „odbitka drzeworytuwa o wymiarach 30x30 cm — 1.200 zł, litografia o wymiarach 30x30 cm — 900 zł”. Prace łódzkich grafików cechują dwa odstępstwa od cennikowej normy. Po pierwsze, są większe, reprezentatywniejsze, po drugie, kilkakrotnie tańsze. Nie mówiąc już oczywiście o wysokich walorach artystycznych.

J. W.

JAN KOPROWSKI

ENCYKLOPEDII TOM DRUGI

Pewien mój znajomy, człowiek światły, przez wiele lat dyrektor poważnej i cenionej biblioteki, powiedział kiedyś: „O zasobności kraju świadczą wielkie domy i wielkie księgi”. Mówiąc: wielkie księgi, miał na myśli wydawnictwa encyklopedyczne, leksykony, i wszelkiego rodzaju wielotomowe pomoce naukowe. Kiedy go spytałem jak w świetle tego kryterium ocenia zasobność Polski, odpowiedział: „No cóż, jeśli chodzi o wielkie domy, to nawet nieźle, ale z wielkimi księgami nie jest najlepiej”.

Właśnie otrzymaliśmy drugi tom „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” zakrojonej na tomów trzynaście. Jest to pierwsza po wojnie encyklopedia polska, na którą czekaliśmy blisko lat dwadzieścia, a nim ukaże się w całości — poczekamy jeszcze i to chyba dość długo. Bo już tom pierwszy, zapowiadany na grudzień 1962 roku, ukazał się znacznie później. Nie dotrzymaliśmy terminu, w jakim mieliśmy otrzymać tom drugi. Tom trzeci, który miał dotrzeć do subskrybentów na gwiazdkę 1963 roku, ujrzymy na wiosnę roku przyszłego, jeśli nie będzie większych opóźnień.

„Wielka Encyklopedia Powszechna” jest wydawnictwem wspaniałym. Drukowana na dobrym papierze, zawiera mnóstwo ilustracji wielobarwnych i jednobarwnych, tablice i mapy, a także rysunki licznie rozsiiane w tekście. Bo gąstko informacji idzie w parze z solidnością ich opracowania, drugi tom, którym się właśnie cieszymy, liczy 888 stron druku i 6.900 hasel. Jest to więc księga imponująca, można by rzec: pomnikowa.

A jednak radość naszą maci fakt, że proces produkcji „Encyklopedii” postępuje powoli, nie odpowiadając ogólnemu postępowi technicznemu naszych czasów. W przedmowie do pierwszego tomu „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” wydawcy i redaktorzy napisali, że słynna Encyklopedia Orgelbranda, uważana za jedno z wybitniejszych osiągnięć polskiej encyklopedystyki, ukazała się w latach 1859 — 1888 czyli w niecałe lat dziesięć. A pamiętamy, że była to encyklopedia złożona z 28 (słownie: dwudziestu ośmiu) tomów.

W tym miejscu, kochani, musimy wstrzymać oddech ze zdumienia i chwilę się zastanowić. 28 tomów w 9 lat to znaczy 3 tomy w ciągu jednego roku. I to kiedy? Przed stu laty, kiedy Polska była roz-darta i podzielona, biedna i

nie dysponująca środkami materialnymi i technicznymi. Nie wiemy, ilu ludzi brało udział przy opracowywaniu tamtej encyklopedii, ale z pewnością nie był to sztab tak liczny, jakim dysponujemy obecnie. A i nabywców nie było tak wielu jak dzisiaj. Wystarczy przypomnieć, że encyklopedie Orgelbranda zapotrzebowano początkowo 3 tysiące prenumeratorów, lecz później po upadku powstania, liczba ich spadła do tysiąca. Należy się nisko pokłonić ceniom tamtych ludzi i podziwiać ich wy-tuzajzm, pracowitość, no i umiejętność, skoro — pow-tórzmy to raz jeszcze — w dziewięć lat zdołali wydać dwadzieścia osiem tomów.

Jeśli tempo wydawania obecnej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” nie zostanie przyspieszone, zakończenia jej doczekają się z pewnością nasze wnuki. Mam pod ręką jeszcze inny przykład. Oto w ro-łipsku „Meyers Neues Lexikon” w ośmiu tomach. Do tej pory ogłoszono już sześć to-mów, a dwa ostatnie znajdują się w rękach czytelników w roku 1964. No cóż, powiecie, ku 1961 zaczęło wydawać w Niemcy, stara kultura poligraficzna. Gutenberg i tak dalej. Prawda, ale i to nie usprawie-dliwia dość powolnego tempa pracy naszych edytorów.

Wróćmy jednak do drugiego tomu „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”. Rzeczywiście jest się z czego cieszyć. Piękna oprawa, czysty druk, imponująca ikonografia — wszystko to usposabia do encyklopedii jak najczelwiej. Zapewne w miarę ukazywania się dalszych tomów będą wypowiadać się specjaliści, oceniający poszczególne jej działy. Napisałem na począt-ku, że bogactwo informacji idzie w parze z solidnością opracowań hasel encyklopedycznych. Z całą pewnością. A przecież nie uniknięto w tym drugim tomie informacji my-lących lub niepełnych. Od daw-na interesuje mnie literatura i kultura niemieckiego obszaru językowego (Niemcy, Austria, Szwajcaria). Przejrzałem tom pod tym kątem widzenia. Oto np. hasło Franz Theodor Csokor, gdzie czytamy: „austriacki reżyser teatralny, poeta, dramaturg i powieściopisarz”. Cso-

kor nigdy nie był reżyserem, gdy tymczasem notatka sugeruje to wyraźnie, wybijając tę wiadomość na pierwsze miejsce. Był i jest dramato-pisarzem, poetą i prozaikiem, teatr był jego pasją, ale nie od strony reżyserkiej. Powie ktoś, że to drobniacz. Nie, moi kochani, to nie drobniacz. Nie koniec na tym. W tej samej notatce czytamy, że Csokor „przełożył na język niemiecki zbiór wierszy S. J. Leca”. I to nie odpowiada prawdzie. Tom wierszy Leca ukazał się z przedmową Csokora, ale tłumaczył te wiersze ktoś inny.

Oczywiście, żadna encyklopedia nie uniknie błędów i nie-scisłości. Największe encyklopedie świata nie są od nich wolne. Gorzej, gdy pewnych hasel w ogóle w encyklopedii nie znajdziemy. Idę dalej moim „tropem niemożnaw-czym”. Bardzo mnie zdziwiło, że „Wielka Encyklopedia Powszechna” pominęła zupeł-nie nazwisko Ernesta Blocha. Blochow jest kilku. Ja mam na myśli niemieckiego filozofa, którego główne dzieło „Das Prinzip Hoffnung” jest wybitnym osiągnięciem na miarę europejską. Fakt ten dziwić musi tym bardziej, że w omawianym tu drugim tomie znalazł się bodaj wszyscy zasłużeńi dla nauki i kultury Blochow. Z wy-jątkiem tego jednego właśnie, Szkoła.

Nie da się również usprawie-dliwić braku nazwiska Haliny Marii Dąbrowskiej, pisarki zmarłej przed dwoma laty w Łodzi, autorki powieści, dra-matów i prac monograficz-nych. Brak ten odezwany tym bardziej dotkliwie, że w „En-cyklopedii” uwzględniono naz-wiska młodych pisarzy, któ-rych zasługi dla kultury i piś-miennictwa nie są bynajmniej większe.

Pretensje nasze pod adre-sem wydawców i redaktorów dwu dotychczas ogłoszonych tomów „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” można by mnożyć. Miejmy nadzieję, że liczny sztab naukowców skoryguje błędy i pomyłki, a zwłaszcza pominiecia, i napra-wi je w suplementie. Tymcza-sem cieszymy się, że mamy na-reszcie zaczątek własnej nowo-cześnie i na dobrym poziomie wydanej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-70
Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł 40 kwartałnie 7 zł 10
Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca — Prenu-merate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zamieszczeniem na „Ogłoszy”
Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17,
Zam. 2835. XII. 63. K-4

suje tu m. in. spotkanie z pewnym łódzianinem, który oprowadzał go po mieście. Gdy doszli do placu Reymonta, Kurt David spytał:

— Władysław Stanisław Reymont, a kół to taki?

— Pisarz. Nie pan o nim nie słyszał?

— Nie.

Bardzo nas to dziwi, bo-wiem dzieła Reymonta, a osobliwie „Chłopi” i „Ziemia obiecana” znane są od daw-na w znakomitych przekła-dach niemieckich. Kto jak kto, ale dziennikarz powinien by wiedzieć coś niecoś o tym polskim laureacie nagrody Nobla.

ANNA LANGFUSS W IZRAELU

W Izraelu przebywała z dłuższą wizytą znakomita pisarka francuska, Polka z pochodzenia, urodzona w Lublinie, Anna Langfuss. Jej książki: SIARKA I SOL oraz ŁADUNEK PIASKU stały się rewelacją wydawniczą na Zachodzie, a ta ostatnia na-grodzona została nagrodą Goncourtów. W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy izraelskiej Anna Langfuss podkreśliła, iż pobyt w Polsce wywarł na niej nie-zatarte wrażenie. Obecnie — powiedziała Anna Langfuss — pracuję nad swoją, trze-

cią książką. Jej bohaterem jest Żyd z Polski, który utracił całą rodzinę w hitlerowskich obozach zagłady, następnie przyłączył się do partyzantki i wraz z Wojskiem Polskim dotarł do Ber-lina.

GANGSTERZY I FILANTROPI

Naszą jedyną komedię sa-tyryczną, w pełni zasługującą na tę nazwę, chętnie oglą-dają widzowie rodzicecy. W planie „Sowietskioje kino” znajdujemy uwagi jednego z krytyków, M. Kuzniecowa.

Krytyk, stwierdzając iż watek wskrzesza znane anegdotyczne sytuacje, podkreśla: „Ważne jest to, iż podstawą filmu jest rzeczywistość ko-mediowa osnowa”. Temat musi być ostry i śmieszny, a jednocześnie całkowicie wiarygodny i w najbardziej niezwykłych sytuacjach zawie-rzać głęboką treść życiową”. Zarzucając pewne dłużyzny — i słusznie — drugiej noweli, chwali całość, szczególnie

wyróżniając Holoubka i Mich-nikowskiego.

„NOŻ W WODZIE” CZYLI TAJEMNICE INTERPRETACJI

„Noż w wodzie”, który — o ile pamiętam — nie cieszył się zbyt wielkim powodzeniem na naszych ekranach, trafił teraz do kin w Stanach Zjednoczo-nych. Zainteresowanie filmem jest duże, poświadcza to re-cenzje. „Jedyną interpretacją, przylegającą do filmu — pisze Arthur Schlesinger junior — jest interpretacja freudowska a nie marksistowska: mężczyz-na wykrada symbol mełości chłopca, a chłopiec traci swój noż w falach i powraca z wo-dy, by zażądać uznania jego mekości. Autentyczność obra-zów i emocji filmu zdaje się sugerować, że każda społecz-ność polityczna, pielęgnuje swe własne formy doświadczenia”. Ty-le Schlesinger, interpretując film Polańskiego z tomem Freuda w ręku. Wypada mu życzyć szczęścia. Klucz freudyz-mu pasuje do wszystkiego, do filmu Polańskiego będzie pasował z pewnością. Czymże bowiem jest ów zgubiony noż, jak nie freudowski symbol? Wła-dziśmierz o tym od dawna, zgubiony noż śnił nam się po nocach.

Realizatorzy filmowi coraz częściej zabierają się do reży-serii teatralnej. Claude Cha-brol ma zamiar wystawić na scenie jednego z teatrów pa-ryskich szekspirowskiego „Mak-beta” a na Broadwayu świetny reżyser amerykański Elia Ka-zan („Na wschód od Edenu”) rozpoczął już próby nowej sztuki Artura Millera „Ten który przeżył”. W rolach głów-nych wystąpią aktorzy filmo-wi Jason Robards, Dawid Wa-yne, Virginia Kaye i inni. „Na pierwszej próbie — mówi Mil-ler — osobiście przeczytałem aktorom sztukę. Chciałem im wyjaśnić jaki jest jej sens i klimat ponieważ wszystkie ro-le zabebają się wzajemnie, tworząc jak gdyby mozaikę”. Kazan interesuje się również możliwościami sfilmowania sztuki Millera.

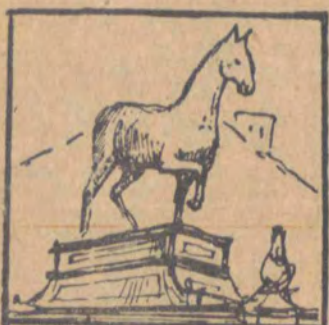
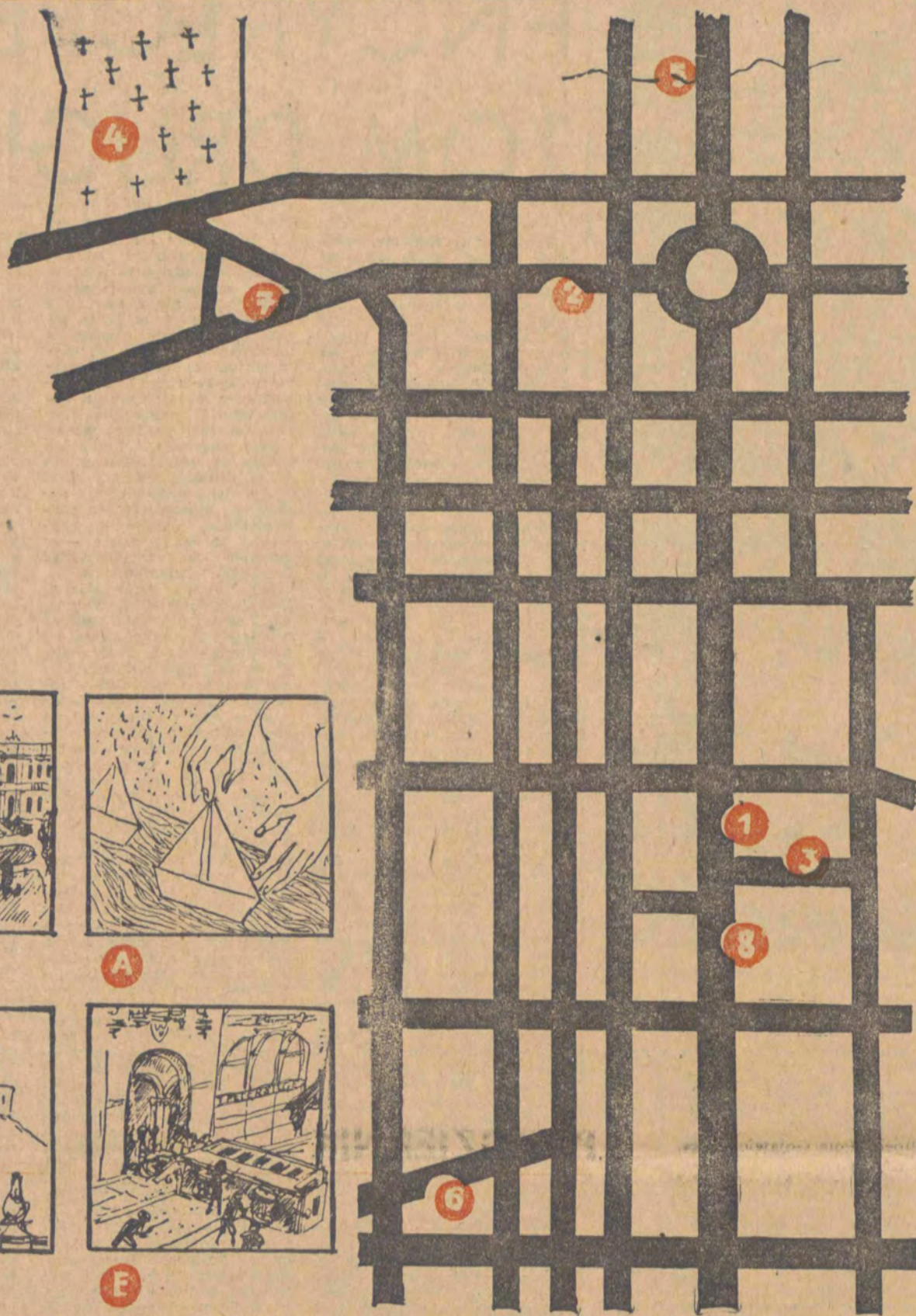
ekran traktat Stendhala „O miłości”. „Poglądy Stendhala” — mówią autorzy filmowej i współczesnej transpozycji dzieła wielkiego pisarza — wydają się nam bardzo aktu-alne. Nasz film będzie ilu-stracją swego rodzaju słowni-ka uczuć”. W rolach głównych wystąpią Anna Karina i Mi-chel Piccoli.

Znany reżyser francuski Ge-orges Franju został laureatem nagrody im. Jean-Georges Auriol. Nagrodę tę przyznano Franju za jego najnowszy film „Judex”. Film cieszy się o-gromnym powodzeniem zarów-no u publiczności jak i u kry-tyków. Zdanie prasy francuskiej jest jednomyślne: „Judex” należy do „cudów” kina.

Cecil Saint-Laurent i Jean Na ekrany amerykańskie Aurel zamierzają przenieść na wszedł nowy film Johna

POLONICA





Konkurs „Łódź Juliana Tuwima”

Czy znasz „Kwiaty Polskie” Juliana Tuwima? Czy znasz Łódź, o której pisał Tuwim?

Możesz się o tym przekonać, rozwiązując nasz świąteczny konkurs. Na zamieszczonym powyżej planie Łodzi naznaczymy cyframi arabskimi 8 miejsc, związanych z ośmioma drukowanymi obok fragmentami „Kwiatów Polskich”, które ponumerowane są cyframi rzymskimi. Ośmiu rysunków, oznaczonych literami przedstawia wydarzenia lub fragmenty architektoniczne, o których jest mowa w urwku „Kwiatów” i które miały miejsce lub znajdowały się w punktach zaznaczonych na planie Łodzi. Zadaniem czytelnika jest połączenie fragmentów z „Kwiatów Polskich” z odpowiadającymi im rysunkami i miejscami na planie Łodzi. Na załączonym kuponie należy przy każdej cyfrze rzymskiej wpisać odpowiednią literę, oznaczającą rysunek i odpowiednią cyfrę arabską, oznaczającą miejsce na planie. Rozwiązania należy nadsyłać na adres red. „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96 do dnia 5 stycznia 1964 r. Między uczestników konkursu, którzy nadesłali w terminie (decyduje data stempla pocztowego) prawidłowe rozwiązania, zostaną rozlosowane następujące nagrody:

- I — aparat radiowy z adapterem,
- II — aparat tranzystorowy,
- III — aparat fotograficzny,
- IV — zegarek męski,
- V — zegarek damski,

Cyfrы rzymskie	Litery	Cyfrы arabskie
I		
II		
III		
IV		
V		
VI		
VII		
VIII		

Imię i nazwisko _____
Adres _____

Kupon Konkursowy „Odgłosów”
wypełnić, wyciąć, przesłać do redakcji
do 5. I. 64 r.

I ...Była uliczka od Piotrkowskiej,
Od tego rogu, gdzie Roszkowski,
Co zwała się „Pasaż Majera”.
Na tej uliczce, tam gdzie krzaczki,
A naprzeciwko państwo Kłaczkini,
Ojciec mój, ojciec nieumarły,
W Azowsko-Dońskim Banku siedzi...

II Bałuckie limfatyczne dzieci
Z wyostrozonymi twarzyczkami
(Jakbyś z bibulki sinoszarej
Wylał ich rysy nożyczkami).
Upiórki znad cuchnącej Łódki,
Z zapadłą piersią, starym wzrokiem,
Siadając w kucki nad rynsztokiem,
Puszczają papierowe łódki...

III Już nie pamiętam, jak ósemka...
Złota z niebieskim? Czy w pasemka?
Nie wiem... Przewrócona na bok
Na szynach leży barykada
W poprzek przez jezdnię (gdzie był Zielke,
A naprzeciwko Petersilge).
Za barykadą — tłum siloczony,
A nad nią, w górę podniesiony.
Sztandar — wyzwanie, sztandar — gniew:
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew.

IV Miał piękny pogrzeb. Pop na przedzie
Konstantynowską kondukt wiedzie.
Za nim, z poduszką, szedł żołnierz,
Czapka i szabla na niej leży.
Potem był wieniec od kamratów,
Jekaterynoburskich chwatów,
Miał szarfę: „Za caria, za wiero”...

V Co majster — klepka nasz magiczny
Najwięcej kochał w czas zimowy
To teatr, teatr swój tragiczny,
Przybytek duchów tekturowy.
Było to wewnątrz starej sali
Selina w Łodzi. Tam przed laty
On z Andzią na galerii stali,
Zaczarowani, skamieniałi...

VI Pisze w kronikach starodawnych,
Ze gościł w mym rodzinnym mieście
Pewien murzyński aktor sławny.
Bóg raczy wiedzieć — czy w przejeździe
Skądś dokądś — czy go przeznaczenie,
Ku łódzkiej skłeroowało scenie,
Dość, że nad Łódkę zawędrował,
Tam na teatrze występował,
Tam zmarł na jakieś zapalenie
Z dala od Afryki-macierzy
I na cmentarzu łódzkim leży.

VII A był to także czas zapamiętany
W dym, szarość, nudę, czad ponury
I w gwiazdy, słabsze wciąż i rzadsze...
Więc się zbuntujmy i ożyjmy,
Rumaku weterynaryjny,
I wlećmy nad ten Kominogród
W pelen astralnych zwierząt ogród...

VIII Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi
Z trzaskiem parademarsz odechodzą,
Brodaty landszturm, w lewo łby,
A karną liną za feldfeblem
Wyrzuca sztywno i uparcie
Podkute stopy...